

*Ne' wstępnie ten napisy
K/Annie*

Reakcja Ewy Tomczykowej z 17.06.1991 r.

=====

© ARCHIWUM WSKHOŃIE

Nazywam się Ewa Tomczykowa z d. Linde, jestem córką Juliusza i Bronisławy z d. Rygiel-Lindów, urodziłam się 6 XI 1928 r.

Rodzice moi mieli majątek Czeremchów, 24 km od Kołomyi, odziedziczony po ojcu mojego ojca, Stanisławie Linde. Majątek był nieduży, ponad 300 ha, znajdował się, jak mówiłam, 24 km na pln.-zach, od Kołomyi.

Dziadek mój był starostą w Czortkowie, jak doszedł do tego majątku w Czortkowie nie pamiętam i nie wiem. Natomiast ojciec mój, urodzony w Czortkowie w okresie I wojny światowej ożenił się, jak wówczas mówiono "popelniał mezalians", bo matka moja była córką rzemieślnika, czyli stolarza we Lwowie. Była wykształcona, bo miała maturę, była sekretarką Banku Gospodarstwa Krajowego najpierw we Lwowie, a następnie nawet w Warszawie, jako że była bardzo zdolna i delegowano ją tam przy organizacji Banku Gospodarstwa Krajowego.

Rodzice moi przeżyli bardzo ciężkie chwile na samym początku swego małżeństwa, mianowicie wojnę z Petlurą, który tam grasował. Był to rok 1920 lub 1921, ja dokładnie tego nie znam. W każdym razie przeżyli to wszystko i zaraz po wojnie zaczęli budować dom, który był zupełnie zrujnowany. W dość szybkim czasie ten dom postawili. Ojciec, jak długo dziadek żył, prowadził bez większych kłopotów gospodarke, natomiast z chwilą śmierci dziadka zaczęły się trochę kłopoty, dlatego, że ojciec miał rodzeństwo, tzn. dwie siostry i brata i musiał ich spłacić. Tutaj przydały się znajomości mojej mamy z banku, bo mama załatwiła od razu pożyczki w Banku Gospodarstwa Krajowego na spłacenie rodzeństwa. Tylko jako paradoks chcę podać, że wszystkie

pożyczki bankowe spłacili na wiosnę 1939 r. I wówczas przy tym pięknym urodzaju 1939 r. jako dziecko pamiętam, jak się cieszyli - to już teraz tylko nasze ! Dlatego, że wszystko już było spłacone.

Ojciec mój był bardzo dobrym gospodarzem, był bardzo lubiany przez chłopów. Wiedź Czeremchów, podobno za życia dziadka, miała jeszcze podobno 100 rodzin polskich. To znaczy, jak ksiądz przyjeżdżał na Wielkanoc, bo najbliższy kościół polski, tzn. rzymsko-katolicki był w Kolomyi, to jak ksiądz przyjeżdżał, to się jeszcze 100 rodzin spowiadało. Wobec tego ojciec mój postanowił koniecznie zbudować kaplicę. Mam na to dokumenty, jak w 1939 r. w kwietniu zawiązał się komitet budowy tego kościoła. Był postawiony już kamień węgielny, no niestety, wiadomo, jak się to skończyło.

I może dzięki temu właśnie, że było tam tak, dużo polskich rodzin stosunki^o ojcem, tzn. dworem a wsia były bardzo mile i bardzo przykładowe. Chłopi niezwykle ojca lubili. Jako dziecko (miałam 11 lat z chwilą wybuchu wojny) pamiętam, jak wyjeżdżaliśmy z domu, a było to 5 października 1939 r., „ponieważ dom nasz stał na uboczu w sensie geograficznym i rzeczywiście, ponieważ wzgórze, na którym stał dwór nazywało się Ubocz i było na uboczu od głównej szosy Lwów - Czerniówce - wobec tego tam pierwszy samochód rosyjski pojawił się u nas w domu 5 października. Oczywiście dwóch takich Sowietów, którzy przyjechali nie czuli się zbyt pewnie, dlatego, że pomimo iż wzięli soltyśa ze wsi, to jakos widzieli, że stosunek między tym soltysem a moim ojcem jest zbyt familiarny. Nie podobalo im się to, wobec tego byli niepewni. Tym niemniej chodzili po całym domu, pokoje nasze były wszystkie w amfiteatrach, więc ten Rosjanin tak się przechadzał (dom miał wewnątrz bardzo piękne, ponieważ moja mama

prowadzila pracownie kilimow, miala wytwornie kilimow, wobec teg~~o~~^ysci~~o~~ni~~o~~byly obwiesz~~o~~ne pieknymi kilimami). Ci sowieci zdenerwowani biegali po tych pokojach i do tego soltysa mowili "to wsio rozdat', to wsio rozdielit';" a do jca ~~na~~ wy zawtra na komandu !"

No wiec po ich wyjezdzie, wlasnie tenze soltys, no i my - ojciec, rodzice - ustalili, ze jednak trzeba wyjezdzac, nie ma co tu zostawac, bo nastepnym razem moze byc troche grozniej. Wobec tego chlopi pomogli nam, formale przede wszystkim pomogli nam spakowac rzeczy. Zabralismy najwazniejsze rzeczy na dwie futy i tymi dwiema furami wyjechalismy do Kołomyi.

W Kolomyi w tym czasie moja siostra, ktora byla w II gimnazjalnej u Urszulanek - mieszkala tam na stancji. I mysmy wlasnie tam, gdzie ona mieszkala na stancji, do tego pokoiku zjechali. Z dwiema furami dobytku z calego dworu.

Jak wyjezdzalismy, to niezapomniane dla mnie jest, jak ~~ludzie~~ jechalismy przez wies, ludzie wybiegali z domow i plakali, otaczali nas, tak ze mysmy sie co ktok zatrzymywali wlasnie i oni ciagle "kuda pan pide", "pan ma ^{jet}ek s namy umyraty", "kuda pan pide !" I nawet ksiadz, ksiadz ruski, bo tam byl oczywiscie greko-katolicyzm, nie prawoslawie, co prawda to sie nazywalo cerkwia, ale nie pop, a ksiadz ruski.- wyszedl. To byl taki staruszek, ktory bardzo rowniez ojca lubil i cenil, plakal, blogoslawil nas na droge. To bylo niezwykle wzruszajace i to do dzis pamietam. Pamietam niemalze twarze tych ludzi, ktorzy nas otaczali ze lzami w oczach. Specjalnie to podkreslam z uwagi na to, co sie pozniej dzialo, wlasnie moze nie w tym obszarze, nie w Czeremchowie, ale w bardzo niedalekiej okolicy, ~~bo juz np.~~ bo juz na poludnie od Kolomyi, w Sniatynie, to tam sie dzialy potworne rzeznie. Przeciez Ukrai~~nc~~cy rzneli

Polaków w straszny sposób. A tutaj myśmy żyli w takiej przy-
jazni. Malo tego - jak znaleźliśmy się w Kolomyi, oczywiście
bez środków utrzymania przecież żadnych, wzięliśmy tylko rzeczy
takie do codziennego życia, łatwe do transportu i proszę sobie
wyobrazić, że chłopci, jak się dowiedzieli, gdzie my mieszkamy,
- od razu zaczęli przychodzić do nas i przynosili nam wszystko.
Myśmy w czasie tzw. pierwszych sowietów do życia nie potrzebo-
wali nic poza mydłem i cukrem. To były dwie rzeczy, które właś-
cie były potrzebne i które trzeba było kupić. Co też było trud-
no dostać. Ale właściwie też można się było bez tego obejść,
bo wszystko nam ze wsi przywozili. Niemal nie było dnia, żeby
ktoś z Czeremchowa nie przyszedł i czegoś nie przyniósł. Tak
że rodzice zaprowadzili taką książkę, gdzie spisywali każde
nazwisko, co kto nam kiedy przyniósł, licząc się z tym, że po
wojnie trzeba będzie w jakiś sposób zrewanżować się, wynagro-
dzić im. Oczywiście i książka przepadła i losy, historia ina-
czej zrzadziły. Ale jak mówię - specjalnie to podkreślam, jak
to wyglądały te sprawy tam.

Po zamieszkaniu w Kolomyi w tym jednym pokoiku, który zaj-
mowała moja siostra gimnazjalistka - musieliśmy oczywiście
znaleźć mieszkanie. Zmieniliśmy mieszkanie na nieco większe,
~~ale~~ no i jakos tam przeżyliśmy. Z tym, że ojciec mój, jako
prawy obywatel uważał, że jeśli ten sowiet powiedział "zawtra
na komandę" - no to należy się zgłosić. I poszedł, już nie
pamiętam, jak się to nazywało, w Kolomyi do jakiegoś tam urzędu.
A tam okazało się - była ogromna kolejka. No więc ojciec sobie
spokojnie stał w tej kolejce, czekał, czekał, trwało to czeka-
nie dosyć długo. Kiedy już był przy drzwiach, miał już wchodzić
- wpadł jakiś Żyd, którego ojciec znał, bo przecież Kolomyja
nieduże miasto. I ten Żyd odepchnął ojca i wszedł tam.

Wobec tego ojciec był mocno obrażony, obrocil się na piekie i wyszedł. Całe szczęście, to był jego ratunek ! Żydowi należałoby się właściwie podziękować, że tak postąpił, bo ojciec wrócił i oczywiście nigdy się już więcej na te komendy nie zgłosił. I dzięki temu szczęśliwie cały ten sowiecki okres przeżyliśmy. Dzięki chłopom, którzy przychodzili i przynosili nam żywność i dzięki temu.

Tak więc specjalnie nie wspominamy tego zła, nawet wręcz odwrotnie. Przychodzili do nas bardzo często na brydza ziemianie zamieszkali w Kolomyi, a myśmy mieli ich nawet czym poczęstować i zupełnie dobrze pod względem gospodarczym się mieliśmy. Mało tego - przychodzili również do nas tzw. bieżący. Byli to uciekinierzy z zachodniej części Polski, z Krakowa, z Warszawy. I myśmy byli właśnie uważani za jednych z tych, którym się lepiej powodzi. No, dzięki naszym chłopom z Czeremchowa !

I tak się właściwie można rozliczyć z tym tzw. okresem pierwszych sowiec.

Wywozki pierwsze nas nie dosięgły, prawdopodobnie sowieci sobie nie zanotowali nas. Oni zaczęli zresztą przede wszystkim od rodzin wojskowych, policjantów, prawników, leśników, itd. Tak więc nas to jeszcze nie zdążyło dosięgnąć.

W 1941 r. , jak Niemcy wkroczyli - z tym, że Niemcy wkroczyli dość późno, bo początkowo wkroczyły do nas wojska węgierskie. -Właściwie Niemców w Kolomyi w ogóle ^{nie pamiętam} nie widzieliśmy, natomiast pamiętam wojska węgierskie, które były niemal z kwiatami witane w wielkiej, szalonej radości, bo przecież wiadomo - Węgier-Polak dwa bratanki... Niemców nie było, tylko ci Węgrzy i oswobodzenie z tej strasznej sowieckiej niewoli.

Wracając jeszcze do okupacji sowieckiej. Żydzi oczywiście podnieśli od razu w Kolomyi głowy. ~~Rz~~adzili się tam dosyć

energicznie. Z tym, że jeżeli chodzi o rodzinę naszą - nie mamy z tego okresu żadnych złych wspomnień z Żydami. Dlatego, że po prostu nie mieliśmy z nimi żadnego kontaktu większego.

A nawet był jeden taki Żyd, nie pamiętam już, jak się nazywał - chyba Biber, z którym ojciec przed wojną handlował. To znaczy sprzedawał mu chyba siano, jak dokładnie nie pamiętam.

I on np. jak się dowiedział, że znaleźliśmy się na bruku w Kolomyi - przyszedł do nas i kazał codziennie przychodzić do siebie po mleko, nie biorąc od nas żadnych pieniędzy. Doskonale to pamiętam, dlatego, że to ja z tą banieczką chodziłam do nich. Codziennie dostawaliśmy litr, półtora, już w tej chwili nie pamiętam. Wiem, że wszyscy chyba zgineli później, ~~na~~ pewno.

Może córka jego się uratowała. To była dorosła już panna, chyba panna. I ona uciekła do Lwowa, więc nie wiem, czy się uratowała, tego dokładnie nie pamiętam. Wiem, że wielu ludzi narzekało strasznie na Żydów. ale jak mówię - my osobście nie mogliśmy nic powiedzieć złego na ten temat.

Natomiast jeśli chodzi jeszcze o sprawy szkolne. Ja w roku szkolnym 1938/39 zaczęłam chodzić do szkoły w Kolomyi, do Urszulanek, bo wcześniej uczyłam się w domu, miałam nauczycielkę. Skończyłam tam czwartą powszechną. Oczywiście jak Sowietci założyli szkoły, bo początkowo w 1939 r. szkoły normalnie działały, ale oni po wkroczeniu wszystko przeorganizowali - wobec tego, że to w Polsce taki "niski" poziom, to kazali mi z powrotem chodzić do czwartej klasy. Oczywiście nauczyciele nas już wiedzieli, jaki jest program i wobec tego normalnie w tej czwartej klasie przerabiali kurs piątej klasy. I tak było do końca. Tak że ja podstawowa zrobiłam piątą i później szóstą to już prywatnie za okupacji niemieckiej u takiej nauczycielki, ale do tego przejdę już omawiając niemiecką okupację.

Natomiast jeśli chodzi o stosunki ukraińsko-żydowskie, to na ten temat niestety, ja była za mała, takich bardziej politycznych spraw nie bardzo pamiętam. Z opowiadań, to co pamiętam już z późniejszych relacji, to tak. O rzeziach, tych ukraińsko-polskich to wiem tylko dlatego. Ale to też już za drugich sowie-
tow, może do tego wrócić jeszcze. O tym będę mówić, bo się zet-
knęłam z tym, bo miałam koleżanki, które miały całą rodzinę
wyrzniętą.

W czasie pierwszej fali aresztowań panika wśród naszych
ziemiaków była straszna, ale jak już mówiłam, do nas oni wtedy
nie sięgnęli. Oczywiście inteligencja bogatsza, to się pocho-
wała, powyjeżdżała, gdzieś się ukrywali. Natomiast rodziny wojsko-
wych były głównie na prowincji, w samej Kolomyi ich nie było,
ale w prowincjonalnych miasteczkach, mniejszych, to wiem, że
na pewno wszystkich wywozili. Z samej Kolomyi było kilka trans-
portów, ale tego też już nie chcę mówić, dlatego że już dokład-
nie nie pamiętam. Nie dotyczyło to naszego środowiska, dlatego
nie pamiętam tak. Na pewno jednak nie dotknęło to inteligencji
żydowskiej.

Mysmy mieszkali u takiej dosyć bogatej pani, to była taka
kumoszka, miała wille. Dlaczego o niej wspominam - dlatego,
że ona później za Niemców podpisała Volksliste, powodziło jej
się wspaniale, ale za drugich sowie-
tow dopadli ją. I o tym
będę jeszcze mówić, bo jej syn bardzo ważną rolę w historii
mojego życia zajmuje w dalszych losach.

A więc to wydaje mi się wszystko, co pamiętam z tego okresu
pierwszych sowie-
tow.

Moment wkroczenia Węgrov pamiętam tylko przez okno szpitala
dlatego, że właśnie na przełomie jednej i drugiej okupacji

byłam chora na tyfus brzuszny i leżałam w szpitalu. I tylko przez okno rodzina, mama i tata przychodzili i mówili mi, co się dzieje. No i oczywiście mówiło się w szpitalu na ten temat. Jak wyszłam ze szpitala, to rodzice mówili o tym, że jest okupacja węgierska, jest dobrze, bo przecież nie ma już Sowietów. Kiedy Niemcy wkroczyli i zajęli całkowicie Kolomyje, to nie mam pojęcia, przypuszczam, że dopiero na jesieni zaczęły się te rządy niemieckie. Zaczęło się wówczas organizowanie życia w stylu niemieckim. Z tym, że ojciec zgłosił się wtedy do tzw. Landwirtschaftu jako rolnik. Do swego majątku nie chciał wrócić dlatego, że własne majątki obejmowali właściwie tylko ci, którzy podpisali volksliste. A ojciec mój oprócz Czeremchowa był kuratorem (ponieważ jak mówiłam był dosyć dobrym gospodarzem) - Towarzystwo Ziemi^{skie} powierzyło mu, kuratele nad majątkiem, który był fundacją. Dochody z tego majątku szły na stypendia dla studentów politechniki lwowskiej. To było Załucze nad Prutem, bardzo blisko Kołomyi, wydaje mi się, że 15 km od Kolomyj. Ojciec o ten majątek szalenie dbał, mama nawet nieraz mu robiła wymówki, że o ten majątek dba bardziej, jak o własny. Ale ojciec mówił - słuchaj, ale to dla biednych przecież, dla studentów, dla sierot ! I satysfakcje mieli z tego tylko taką, że co roku, to do dziś pamiętam (jako dziecko byłam najdłużej z rodzicami, tamte siostry starsze były już w szkołach), jak wieczorami, to się odbywało gdzieś na jesieni, dostawali listy studentów politechniki lwowskiej i musieli wybierać. Do trzeba było wybrać na tyle, na ile było tych środków na stypendia. Pamiętam, że to im sprawiało szaloną satysfakcję. Wyszukiwali przede wszystkim chłopców wiejskiego pochodzenia, półsieroty lub sieroty. I dostawali oni stypendia z tego majątku Załucze. To dosyć duży był majątek plus las. I do tego Załucza ojciec

- nie przyznajac sie Niemcom, ze ma z nim cokolwiek wspolnego
- zglosil sie, ze moze to objac. I Niemcy mu to przydzielili.
I tam dosyc dlugo byl zarzadca tego Załucza. Ja prawie caly
czas bylam z nimi i tam wlasnie w Załuczu chodzilam na lekcje
do nauczycielki wiejskiej. Czy szkola wtedy byla czynna - nie
pamietam. W kazdym razie ta nauczycielka tam mieszkala, a ja
do szkoly nie chodzilam, tylko do niej prywatnie i przerobilam
z nia szosta klase podstawowa.

Jak skonczylam te szosta klase, to mama wynalazla mi taka
nauczycielke w Kolomyi, bardzo zdolna nauczycielke, do ktorej
jezdzilam. Ona uczyla mnie glownie matematyki i laciny, a szcze-
golnie matematyki, bo ona byla swietna matematyczka i tej mate-
matyki mnie dosyc dobrze poduczyla. Tak ze wlasnie do dwoch
klas ^{z matematyki} matematyki bylam przez nia przygotowana.

Poniewaz mialam juz wowczas 14 lat, musialam miec karte ^{Jzo}
jakiejs pracy. Wobec tego w gospodarstwie moja starsza siostra
byla kucharka, zarejestrowana jako kucharka - rzeczywiscie
wyzywala sie w tym i prowadzila kuchnie, natomiast ja bylam
jako Hühneraufseherin, czyli kury i kaczki nalezaly do mnie i
nawet mialam jakies tam zaswiadczenie, ze pracuje. To nas ~~xxx~~
zabezpieczalo przed wywozka na roboty. Pamietam, ze ojciec
staral sie wtedy zatrudniac bardzo duzo mlodych chlopcow z
Kolomyi, uczniow, czy juz studentow nawet, ale chyba to byli
uczniowie, glownie gimnazjum, zeby uratowac ich w ten sposob
przed wywozka do Niemiec. Oni dosyc czesto sie potem u nas
wieczorami zbierali i bylo nieraz bardzo, wesolo. Siostra moja
juz byla wtedy dosastajaca. Najstarsza natomiast wyjechala do
Lwowa, dlatego, ze chiala koniecznie studuowac, byla juz po
maturze. Anna wyjechala do Lwowa, gdzie juz w 1939 r. zrobila

mature. Zaczęła w 1939 r. romanistykę, tzn. zapisala się, ale na tym się przecież skończyło. Z Załucza napisała do prof. Czernego, który prowadził romanistykę i on jej kazał przyjechać. Zeby z kolei mieć podkładkę do pracy, zapisala się do Instytutu Weigla i karmiła wszy. Natomiast średnia moja siostra, Izabella była, jak mówiłam kucharka i temu poświęcała się bardzo dzielnie i wprowadziła razem z tymi młodymi życie towarzyskie. Wieczorem zawsze było bardzo wesoło. Poza tym rodzice zapraszali kogoś, kto potrzebował, że tak powiem odpoczynku, m.in. znany we Lwowie chemik prof. Kemula z Uniwersytetu Lwowskiego, któremu w pewnym momencie zaczęło się palić pod nogami, wobec czego szybciotko go do nas ściągnęli. Przez jakies dwa czy trzy miesiące przebywał u nas w Załuczu na odpoczynku.

Już pod koniec okupacji niemieckiej Niemcy byli agresywni, a ponieważ ojciec miał nazwisko "Linde", również bardzo pospolite przecież w Niemczech, ten zarządca Landwirtschaftu, Niemiec, którego nazwiska nie pamiętam, przyjechał kiedyś na jakąś kontrolę, no i do ojca mówi - ale przecież pan ma niemieckie nazwisko ! Ja nawet znam w Berlinie Juliusza Linde ! A ojciec na to powiedział, no tak, ale ja jestem Polakiem i moja rodzina pochodzi ze Szwecji ! Jako że w rodzinie mojej zachowała się tradycja (nie wiem, czy rzeczywiście tak było), że nasza rodzina pochodzi od Samuela Bogumila Lindego. Niekoniecznie od niego, bo on miał same córki, więc nazwisko by się nie zachowało, ale może od jego brata, który był pastorem ewangelickim. Taką była w rodzinie tradycja.

Za karę, że ojciec nie chciał na propozycję tego Niemca podpisać volkslisty, bo to była propozycja - został usunięty z tego majątku i przeniesiony do takiego małego majątku Chwałiboga. Co prawda jeszcze bliżej Kolomyi, bo dosłownie

jakies kilka kilometrow od niej, co bylo pozniej, jak sie okazalo bardzo dla nas wygodne. Bo pod koniec okupacji uciekliśmy po prostu stamtąd od razu do Kolomyi. Ale dla ojca to byla wielka strata, bo strasznie sie tym Załuczem przejmował.

Przypomnialam sobie teraz, ze wspominajac ojca mojego nie powiedzialam, ze ojciec mial skonczone studia, tzn. naprzod Chyrów - to byl dosyc znany osrodek, a nastepnie Dublany. Tam zrobil dwa fakultety, rolnictwo i lesnictwo. Tak ze wlasnie mial podwojny dyplom.

A wracajac do okupacji niemieckiej, to koncowa jej faze przezywalismy w Chwalibodze. Tam rowniez najstarsza moja siostra Anna, ktora byla we Lwowie przydzielala nam ciagle jakis mlodych ludzi. Oczywiscie nigdy nie pytalismy sie kto i co, ale to byli AK-owcy, ktorym palilo sie we Lwowie pod nogami. Takich mieliśmy kilku mlodych ludzi, dlatego, ze ona sama byla w AK i pracowala we Lwowie jako flaczniczka. Czasami przywozila, czasami tylko przysylala tych mlodych ludzi. A poniewaz to byla malutka wies i tam juz zupełnie Niemcy nie zagladali, bo to bylo gospodarstwo male, wiec ich juz nie interesowalo tak bardzo jak Załucze, ktore jednak bylo bogatym gospodarstwem. A poza tym juz sie jednak konczyla ich wielka wojna !

Z tego okresu juz niewiele pamietam, bo to sie pozniej tak potoczyllo szybko. Jak juz sie zorientowalismy, ze sytuacja jest taka, ze Niemcy sa juz przegrani calkowicie, rodzice szybko wynajeli mieszkanie w Kolomyi i przeniesliśmy sie do Kolomyi. To bylo chyba na jesieni 1943 r., dlatego, ze do Kolomyi (pamietam dokladnie) Rosjanie wkroczyli 15 marca 1944 r. To dokladnie pamietam, bo to bylo dosyc hucznie, to znaczy hucznie w ten sposob, ze wjechal jeden czołg ze strzelaniem oczywiscie i z wielkim szumem. Niemcow juz nie bylo, bo przez

ponad 2 tygodnie nie było nikogo - ani Niemcow, ani Rosjan. Niemcy szybciotko wycofali się, co prawda niedaleko, bo na linii między Kolomyją a Lwowem i tam się umocnili. To mniej więcej przypadło na linię właśnie naszego majątku, Czeremchowa Dąbrego, że tam, jak mi ojciec mówił, z czasów jeszcze I wojny światowej Był tak zwany Koziniec - wzgórze, które było bardzo ważne strategicznie. I w tym miejscu Niemcy się bronili przez 4 miesiące, tak że między wkroczeniem Rosjan do Kolomyi a wkroczeniem do Lwowa w sierpniu był taki długi okres czasu. Na tej linii oni się bronili.

Sytuacja była taka, że w Kolomyi było oczywiście bardzo dużo Polaków, dosyć silne prawdopodobnie AK, tak że tam o żadnych rozruchach, zamieszkach, rzeziach między Ukraińcami a Polakami nie było mowy, bo za duże środowisko było polskie. Natomiast w okolicach, w małych miasteczkach chodziły słuchy o strasznych rzeziach ukraińskich. Zaczęły się one szczególnie wtedy, gdy Niemcy ustąpili.

Wracając jeszcze do kwestii żydowskiej - mieszkając na wsi, raz jedyną jedyną pamiętam jeszcze w Żółtym, bo jeszcze wtedy Żydzi byli - to grupy Żydów prawdopodobnie uciekła z getta w Kolomyi. Znaleźli się oni w Żółtym i pamiętam, że ojciec często tych Żydów wówczas zatrudniał w majątku. Ale później przyszli Niemcy i kazali ich wszystkich usunąć. Oczywiście czy zabrali ich sami tego dokładnie nie pamiętam. M.in., wiemy tylko, że córka tego Bibera, ona była już wykształcona, starsza w każdym razie od mojej najstraszej siostry. Siostra moja zabierała ją pociągami, tzn. jeździły w pociągu razem, nie odzywając się do siebie, tamta oczywiście bez żadnych dokumentów i bez niczego. W ten sposób siostra moja dowiozła ją do Lwowa. Co się z nią dalej stało to nie wiem. Siostra jej zdaje się dała jakieś

adres, ale później ona sama się gdzieś ulotniła. Nie wiem, czy udało jej się gdzieś dalej na Zachód dotrzeć, nie mam pojęcia i w ogóle nie wiem, co się z nią stało.

Pamiętam tylko raz, w oczach mam - jak byłam na lekcji u tej nauczycielki - główna ulica Kolomyi prowadzona kolumnie z getta do roboty. Ta cała masa ludzka, tak jak oni ustawiali tych niedzarzy, z łopatami lub bez, szła ta bezbronna masa ludzka. Gdzie - czy na egzekucje, czy tylko wyprowadzili ich do roboty - nie wiem. Tym bardziej, że mieszkalam na wsi, więc więcej się z tym nie stykałam. To było straszne, ale widziałam to raz jeden jedyny.

Jak powiedziałam - do Kolomyi wkroczył jeden "pijany" ruski człóg, potem przez pewien czas nic i dopiero po tygodniu wkroczyła regularna armia sowiecka. Od tego momentu zaczęła się już nieco trudna sytuacja dlatego, że oni początkowo rabowali, a następnie zaczęli przede wszystkim aresztować. Aresztować wszystkich volksdeutsche. Ale to stopniowo szło, to szło bardzo powoli. Dopiero właściwie oni pewniej się poczuli, jak już zajęli Lwów, a to było w sierpniu, chyba 4 sierpnia wkroczyli, dokładnie już dnia nie pamiętam, ale wydaje mi się, że było to na początku sierpnia. A przecież w lipcu byli już w Chełmie Lubelskim ! Wobec tego jak zajęli Lwów, to się wtedy szybko front posunął dalej. Oczywiście szybko zorganizowali biura ewakuacyjne - mam tu gdzieś kartę ewakuacyjną, jak to się słynnie nazywało, a to było przecież zupełnie normalne wyrzucenie z domu, a nie ewakuacja. Ale nikt z Polaków się wówczas nie spieszył. Oni przygotowywali pociągi, wszystko było przygotowane na to, te biura były gotowe, ale nikt się tam nie kwapił. Wcześniej nie było o niczym wiadomo, dopiero, jak zajęli Lwów, to dopiero zaczęli o tym mówić. Żadne informacje

o jakichs rokowaniach na ten temat nie docieraly, bo ja bym slyszala rodzicow rozmowy, a nic takiego nie bylo.

Natomiast, kiedy sie ta ewakuacja zaczela, ale nikt sie z tym nie spieszył i nikt nie chcial sie zgłaszac, ojciec moj jak gdyby czul nadchodzace nieszczęście i to, co sie pozniej stalo.

Ciagle, pamietam, mowil - Bronka, moze bysmy tak wyjechali ?

A mieliśmy dokad wyjechac, bo tereny Targowiska (Targowiska to jest kolo Rzeszowa, wlasciwie kolo Krosna) byly juz zajete, juz byly polskie. A tam byla daleka rodzina mojej mamy, ktorej ojciec, Jan Rygiel wyemigrowal jeszcze przed I wojna swiatowa z tobołkiem po skonczeniu szkoły rzemieślniczej w Miejscu Piastowym. To byla taka slynna szkoła rzemieślnicza. I on jako stolarz, z tym toboleczkim doszedł do Lwowa. Mucial byc wspanialym rzemieślnikiem, skoro ~~jak~~ ^{po} wybuchla wojna byl ^{znow} wlascicielem kamienicy w samym centrum Lwowa i mial wspanialy warsztat i wyksztalcil duza gromadke dzieci. Mial trzech synow lekarzy, jednego syna przeznaczyl na swoje miejsce, na stolarnie, a co ten do konca zycia mial mu za zle, ze studiow nie ukonczyl i dwie corki, ktorym dal mature, a to wowczas bylo bardzo wiele. ^{15. Targowiska z Krosna} Tam wlasnie byla rodzina mojego dziadka ze strony mamy.

Jak sie pozniej po wojnie z nimi zetknelam, to powiedzieli mi, ze oni czekali na nas, ze bylo u nich bardzo duzo uciekinierow ze Wschodu, ale ciagle czekali na nas. Niestety, moja mama byla szalona optymistka, przez cale zycie. Poniewaz zycie sie jej wlasciwie pieknie ulozilo, byla w malzenstwie szalenie szczesliwa, ojciec moj byl golebiego serca. Dlatego uwazala, ze to wszystko jeszcze nie wiadomo. I stale mowila ojcu - sluchaj, wojna sie przeciez jeszcze nie skonczyla, jeszcze nic nie wiadomo, moze sie to jeszcze wszystko zmieni. Po co uciekac, bedziemy swoje ziemie opuszczac ? Nie chciala, po prostu wierzyła w to, ~~ze~~ sie jeszcze wszystko zmieni.

A ojciec właściwie ciągle był pesymistycznie nastawiony. I tak za drugich sowietów moja średnia siostra Izabella pojechała do tamtej starszej, Anny i zaczęła chodzić tam do szkoły. Natomiast ja poszłam do szkoły w Kolomyi i właściwie były komplet i prywatne nauczanie - trzeba było zdawać egzamin. Jak mówiłam, ta nauczycielka przygotowała mnie świetnie z matematyki, a z matematyki był właśnie egzamin. Wobec tego po egzaminie kazano mi iść do tzw. osmej klasy sowieckiej, co był to niby odpowiednik czwartej gimnazjalnej - niby to ! W każdym razie do tej osmej klasy zaczęłam chodzić. Nauczyciele zresztą, Polacy, dawni nauczyciele gimnazjalni prowadzili zresztą ten program trzeciej, czwartej gimnazjalnej, ~~dziesiątej~~ oczywiście po polsku, bo to była polska "diesiatilietka". Oczywiście był język rosyjski i język ukraiński obowiązkowy, bo przed wojną był ukraiński w szkole, ale chodził tylko ten, kto chciał. Ja oczywiście się nie uczyłam, znałam ukraiński tylko tak, potocznie, co ze wsi. Natomiast za sowietów był obowiązkowy i jeden i drugi. Chodziłam tam do szkoły do połowy stycznia 45 r. A dlaczego, to zaraz powiem.

Tam była szalona zbieranina w tej szkole, z różnych klas, z różnych poziomów nauczania. A więc ci profesorowie starali się wyrównywać to i mniej więcej poziom był tak trzeciej, czwartej gimnazjalnej. Skąd była młodzież - no przede wszystkim z Kolomyi i z sąsiednich, okolicznych wsi ci, którym się udało uciec od rzezi ukraińskich. Miedzy innymi nie zapomnę dziewczyny, która była ciut-ciut ode mnie starsza, ale chyba nie więcej, jak rok lub dwa. I była w tej samej klasie, co ja, Nie pamiętam jej imienia i nazwiska, ale dziewczyna była piekielnie nieszczęśliwa, dlatego, że była świadkiem rzezi całej jej rodziny. Rodzice i jej rodzeństwo, nie pamiętam, ile oraz dziadkowie

zostali na jej oczach zamordowani, siekierami pomordowani. A ona sie schowała w fortepianie i widziała wszystko, przez szpare cala te rzez widziała. I opowiadała to nam w szkole. Stad wiem, bo jak mowie - najblizsza kolezanka z klasy mi to opowiadała. I to bylo w Śniatynie. Pamietam, ze ona byla ze Śniatyna, z tym ze nie wiem, czy mieszkali w samym Śniatynie. W kazdym razie z tamtych okolic. Jaka tam byla wtedy atmosfera - atmosfera byla dosyc przygnebiajaca. Bo ludzie nie wiedzieli, co robic. Czy wyjezdzac rzeczywiscie - co tacy sprytniejsi, bardziej ~~wyższ~~ zaradni wyjezdzali. Ale takich bylo bardzo niewielu. Jak mowilam, to byly wyjatki wlasciwie, ci, ktorzy wsinali w transport, zabierali co mogli i wyjezdzali. Wiekszosc ciagle czekala, przeciez nie bylo jeszcze konca wojny, do konca wojny jeszcze bylo ho.ho ! I nikt nie chcial tak dobrowolnie wyjezdzac. A z drugiej strony byl strach, ze a noz zechca na nowo powtorzyc wywozki na Sybir. Ale ~~poniewaz~~ **poniewaz** wlasciwie nic na to nie wskazywalo, to sie wlasciwie spokojnie ~~sie~~ siedzialo tam. Ojciec moj zaczal pracowac, pracowal jako ogrodnik w szpitalu miejskim w Kolomyi. Tak ze nawet mielismy z czego zyc, tam dobrze mu sie ten ogrod prowadzil, przy tej okazji mielismy co jesc. No, a pozniej nie wiem dlaczego zaczal pracowac w elektrowni jako urzednik. Juz tego nie pamietam, dlaczego z tego szpitala odszedl, nie mam pojecia. Nie wiem, czy tam lepiej go znali, w kazdym razie 12 I 1945 r. nastapila ja uwazam najwieksza tragedia naszej rodziny, mianowicie przyszli do tej elektrowni i ojca aresztowali. Jako "pomieszczyka", czyli bylego obywatela ziemskiego. Przyszli do domu, robili rewizje, oczywiscie nic nie znalezli, bo przeciez nic nie bylo w domu. Nic nam zreszta chyba nie zabrali, nie pamietam, zeby cos zabrali. Rewizja byla chyba taka pro forma. Ojciec juz nie

wrocil z pracy, tylko prostó z pracy zabrali go do wiezienia. Ja ojca widzialam jeszcze wlasciwie raz jeden jedyny i to tak przelotnie. Ojciec byl na podworzu wieziennym i go zobaczylam, on mnie prawdopodobnie nie widzial. Natomiast slyszec, slyszala, go. Poniewaz ^{imprez} ich w piwnicy w jakims gmachu, nie wiem co to byl za gmach, w kazdym razie w zakratowanych piwnicach. Normalnie tam chodzil straznik, ale wtedy akurat gdzieś poszedl, czy sie upil, nie wiem, W kazdym badź razie nie bylo go. I ja szlam tuż przy oknach i wolalam. Ojciec podszedl do okna i przez sekunde doslownie rozmawialismy. Ostatnie slowa, jakie do mnie ~~powiedzial~~ ^{powiedzial}, to tylko - uwazaj na mamusia, ~~opiekuj~~ ^{opiekuj} sie mamusia.

Ten widok do dzis pamietam - ojciec w takiej charakterystycznej kurteczce, z kolnierzem, bo to przeciez byla zima, to byl styczen, z futrzanym kolnierzem, stal na podworzu wieziennym. I to jest ostatni raz, jak pamietam ojca.

Dyl w wiezieniu w Kolomyi niedlugó, chyba miesiac. Moja siostra najstarsza Anna jak sie tylko dowiedziala o ~~arrestowaniu~~ ^{aresztowaniu} ojca przyjechala natychmiast do Kolomyi i jako mloda (ona miala ~~wowczas~~ ^{wówczas} 24 lata) dziewczyna bedzie umiala jakos do tych sowietow przemowic. Mama byla starsza pani, w kazdym razie miala juz pod szescdziesiatke, bo rodzice moi dosyc pozno sie pobrali i mieli dzieci w dosyc poznym wieku. Miedzy mna a mama bylo 40 laty rozniczy. Wiec starsza pani to juz nie miala takiej sily przebicia. No i rzeczywiscie siostrze udalo sie z jednym porozmawiac, nawet ofiarowala mu zegarek szwajcarski ojca i on jej obiecal, ze ojciec zostanie zwolniony. Oczywiscie to jak zwykle sowieckie obiecanki ! Na drugi dzien ojciec zostal wywieziony z wiezienia kolomyjskiego do Stanisławowa.

Wówczas zapadła decyzja, że nie mamy co tam siedzieć w Kolomyi, siostra wróciła do Lwowa, myśmy się tak spakowały, że zabralysmy te najcenniejsze rzeczy - biżuterie, futro mamy, to, co mogliśmy zabrać i pojechaliśmy do sióstr moich do Lwowa.

A reszta rzeczy, które nam zostały były spakowane w kufrach, koszach i u znajomych w Kolomyi zostawiliśmy licząc się z tym, że ktoś z nas przyjedzie ze Lwowa, zabierze to i wtedy ewentualnie transportem zabierzemy już do Polski. Bo a nuz się uda jeszcze ojca uwolnić. I my obie z mamą znalazłyśmy się w luźnym we Lwowie. A jak wiadomo za ~~sowietów~~, w sowietach nie wolno się poruszać z miejsca na miejsce. Ja byłam nieletnia jeszcze, więc ja nie wchodziłam w grę, ale przede wszystkim mamie nie wolno było. A we Lwowie nie można się było zameldować, bo nie miała mama pozwolenia na przejazd z Kolomyi do Lwowa.

Wobec tego mieszkaliśmy niemeldowani tam u siostr moich. To trwało niedługo - po dwóch tygodniach przyszło NKWD i aresztowało mamę. Pod pretekstem tego, że była nie zameldowana. Po prostu sprawdzili dokumenty - niemeldowana - zabrali ją i aresztowali. W tym czasie siostra moja Izabella wyjechała do Stanisławowa, żeby podać tzw. przedadze do więzienia ojcu. To była ostatnia przedadza, jaką ojciec mój otrzymał. Dlatego, że siostra po oddaniu tej przesyłki do więzienia wracała do Lwowa, poruszać się zresztą można było tylko tymi pociągami transportowymi, bo normalne przecież osobowe ani żadne inne nie chodziły. Tak więc przyjechała do Lwowa. Do tego jeszcze wroce.

Cofne sie jeszcze do sprawy tej ewakuacji i tego, ze ludzie nie chcieli wyjezdzac. I tego, dlaczego zaczely sie aresztowania. Otoz, poniewaz nikt nie chcial wyjezdzac (to byl styczen 1945 r., wojna skonczyla sie w maju i jeszcze nic nie wiadomo bylo, co sie moze zdarzyc i co Amerykanie i Rosjanie zadecyduja

Jak było z Jajta - ja tego to nie wiem, czy rodzice ze sobą na ten temat rozmawiali - nie pamiętam po prostu. Pewno tak, ale może nie dochodziły dokładne wiadomości, nie wiem, w każdym razie przecież radia nie było.

W Kolomyi aresztowania zaczęły się od osób bardziej znanych. Ponieważ już wcześniej powywozili ~~woźziny~~ ^{zaczęli} woźziny wojskowych, ~~nauczycieli i tam~~ ^{zaczęli} innych już powywozili, wobec tego już w 1945 r. zaczęli również od najbardziej znanych - a więc nauczyciele, adwokaci, inteligencja. I tak jak mój ojciec paru innych ziemian, to tacy ludzie byli aresztowani. Zastanawiając się dziś nad tym ~~po prostu~~ przypuszczam, że ~~po prostu~~ dlatego, aby spowodować natychmiastową panikę. Zapewne o to chodziło, bo po tych pierwszych aresztowaniach ludzie momentalnie, ale to momentalnie rzucili się do transportów, do wyjazdu. I wtedy rzeczywiście prawie dzień w dzień odchodziły transporty z Kolomyi wyjeżdżających na zachód, do Polski.

Teraz wracam do aresztowania mojej mamy. To było rano, przed południem i siostra moja wysłała ostrzeżenie na dworzec dla siostry wracającej ze Stanisławowa. Miała już wówczas doświadczenie akowskie, więc może mogła to troszkę lepiej zorganizować. Zorganizowała ^{tylko} jedną rzecz bardzo dobrze, - wysłała znajomych i przyjaciół we Lwowie. Na szczęście zawczasu dała znać, że mama jest ~~wywieziona~~ aresztowana, że jesteśmy w niebezpieczeństwie licząc się z tym, że po nas, to znaczy po nią i po mnie jeszcze raz się wroca na pewno. Miano ostrzec moją siostrę ^{zobacz} wracającą, ze Stanisławowa, żeby się nie zjawiała w domu, bo ją też mogą aresztować. Ale zrobiła jedno głupstwo. Po aresztowaniu mamy oni przewrocili oczywiście całe mieszkanie do góry nogami - siostra mieszkała wówczas w takiej willi przy ul. Tarnowskiego 93 i tam na III piętrze zajmowała pokój, dwa pokoje z kuchnią, już nie pamiętam.

Nad tym był strych. I na tym strychu w czasie rewizji znaleźli powielacz. Taki prymitywny bardzo. I w szafie u siostry znaleźli dwa pół metrowej wysokości stosy "bibuly" jeszcze z czasów okupacji niemieckiej. Okazało się później, że to w ogóle nie było mojej siostry, tylko jej koleżanki, która nawet nie była w AK tylko w NSZ-cie. Siostra moja była dosyć, uważam, lekko-myślna, bo już miała przecież doświadczenia AK-wskie. Powinna była natychmiast po wyjściu tych Sowietów (bo oni po zabraniu mamy nic nie wzięli) natychmiast to zlikwidować - i ten powielacz i te bibule. A to stało sobie, siostra to w łazience zostawiła, w ubikacji to stało pamiętam ! A ten powielacz też gdzieś tam stał, zostawiony przez tych Sowietów. Siostra znikła gdzieś na cały dzień, bo to była ^Vlatawica szalona, miała mnóstwo znajomych we Lwowie. Była ode mnie o 8 lat starsza. Wrocila po południu i mówi do mnie tak - mogłybyśmy uciec, schować się, ale nie możemy, bo mama przecież jest aresztowana. Oczywiście ja to rozumiałam i to było jasne, ale z doświadczeń późniejszych uważam, że powinna była zlikwidować wszelkie ślady czegokolwiek. Niestety, tego nie zrobiła.

Wieczorem przyszli znow. I oczywiście zaczęli ~~przeuwagać~~ z powrotem wszystko do góry nogami. Oczywiście zabrali plik tej "bibuly", reszta zostało, bo tego było bardzo dużo. Przy tej okazji muszę zaznaczyć, że ja wyglądałam strasznie dziecinnie. Mając już wówczas przecież 16 rok - wyglądałam najwyżej na 10 lat i oni w ogóle na mnie nie zwracali uwagi, ja byłam powietrze. A właściwie tylko była ona, jako, że ona miała wtedy lat 24. A wiadomo - wtedy zaczęli we Lwowie wylapywać AK-owców, bo przecież Lwów jak zajęli, to zrobili to samo, co w Wilnie. Kocioł dla całego naczalstwa AK i wszystkich aresztowano. A takich jak ona. łączników i innych to później wylapywali w inny sposób. Wystarczyło, że ta i ta osoba miała opaskę

bialo-czerwona, no to już wiadomo - była aresztowana i wywożona na Sybir. Z takimi ja się później zresztą w więzieniu zetknęłam. Wtedy, właśnie w czasie tej rewizji, ponieważ moja siostra zauważyła, że oni nie zwracają na mnie żadnej uwagi, bo jej kazano siedzieć i nie ruszać się - ona szepnęła do mnie, żebym poszła do łazienki i zrobiła z tym porządek. Tego dużo, Wzielałam to w podolek sukienki - a było tego mnóstwo i schodziłam na dół z tym, aby to gdzieś wyrzucić. Na całe swoje nieszczęście - o co też mam do siostry pretensje, że nie powiedziała mi, że pietro pod nami mieszkają Żydzi, niejacy Wajcmanowie, którzy się jakimś cudem uratowali przed Niemcami. Ten Wajcman pracował w biurze meldunkowym i on nasłuchiwał tych Sowietów, którzy aresztowali mamę, bo poinformował, że mama jest niemeldowana. Ja nie wiedziałam, kto to jest, ona powinna się była już orientować i mnie ostrzec przed nimi. A tam oni wiedzieli oczywiście, że u nas buszuje, wobec tego mieli drzwi na oścież otwarte. Ja, nie wiedząc o niczym zobaczyłam tylko piec, który stał w przedpokoju, a we Lwowie piece ogrzewało się gazem i taka galka dług z płoniami gazu paliła się w tym piecu. Ja zobaczyłam ten ogień i swoje papiery i pomyślałam sobie, że najcudowniejszą rzeczą, byłoby w ten ogień wrzucić te papiery. Wszłam więc do tego mieszkania. Wajcmanaowa wybiegła, zobaczyła mnie z podolkiem pełnym tych papierów i ja się jej tylko zapytałam, czy ja bym mogła wrzucić to do ognia. Ona ze strasznym wrzaskiem wpadła na mnie i powiedziała - myśmy się uratowali od Niemców a ty mi tu takie rzeczy, wcale nie, proszę się wynosić z tym ! No i oczywiście ja czym prędzej uciekłam. Zbiegłam na dół, wyszłam z domu, pod schodami zobaczyłam pojemniki na śmieci i tam to do tych pojemników wrzuciłam. Przypuszczam, że do tego wiedząc oni nie zajrzeli, prawdopodobnie wcześniej, przede mną wzięli

kilka kartek, dlatego, że później siostra mi opowiadała, że mieli tych kilka kartek i ciągle ja o te kartki maglowali. Ale tylko tyle, a do tej reszty, która ja wyrzuciłam nie dotarli. Jeszcze w czasie rewizji przyszedł do nas kolega moich siostr Tadeusz Agopsowicz, Ormianin, po prostu tak, w celach towarzyskich zapytać, co się u nas dzieje. No i niestety, oh był wówczas w wieku dwudziestu paru lat, jak najbardziej więc podpadającym (choć wydaje mi się, że on nie był z żadnymi organizacjami AK-owskimi związany) decyzjom o aresztowaniach. On sympatyzował, że tak powiem, z moją średnią siostrą i dlatego przyszedł. Ale niestety, dali mu w garść tenże powielacz, o którym już wspominałam i zabrali nas wszystkich na komisariat który był na ul. Zielonej. Tam nas zamknęto.

Mamy już wówczas tam nie było, mama była już w więzieniu, nie na komisariacie. Jak pamiętam, to mama w komisariacie była bardzo krótko, od razu ją zabrano do więzienia chyba na Kazimierzowskiej. Bo to były dwa przedwojenne więzienia - jedno na Kazimierzowskiej, drugie na Jachowicza.

Po naszym aresztowaniu już, po zabraniu nas w mieszkaniu siostry zrobiono kocioł. I tam przyszła koleżanka mojej siostry właśnie ta właścicielka tej nieszczęsnej bibuły. Ale oczywiście nikt o tym nie wiedział poza moją siostrą. Ona co prawda chciała się koniecznie koniecznie do tego przyznać, chciała całą winę na siebie wziąć, no ale ponieważ i moja mama i my obie byśmy były aresztowane, wobec tego siostra zdecydowała, że nie ma sensu ją wplątywać, że jednak całą winę zostanie na niej. Oczywiście zaczęły się wtedy te koszmarnie sowieckie przesłuchania, które odbywały się tylko nocą, jak to u Sowiec. Przecież to, co później robiono tutaj w Polsce, to była szkoła sowiecka. Cały dzień był spokojny, można było sobie leżeć

i rozmawiac i robic, co sie chcialo w celi. W celi - to nawet nie byla cela, bo to byl wlasciwie komisariat, wiec to byly takie pokoiczki male. Tam nas bylo cztery, spalysmy na podlodze jak pamietam tylko w tym, cosmy mialy na sobie. Zreszta tak nas zabrano, jak stalysmy.

Tam np. przyprawdzono taka mloda dziewczynę, która ktos zaskarzył, że widział ją z opaską bialo-czerwoną. To wystarczyło. Ona została później przewieziona, zreszta razem ze mną, bo to z nią bede potem cały czas, nawet w "peresylnym punkcie" aż do czasu, jak ją wywiozła na Sybir. Nazywała się ona Krystyna Myslakowska, podobno córka, przybrana córka jakiego kapitana przedwojennego w Gdansk. Skąd znalazła się we Lwowie - już nie pamietam.

Wspomniałam o pascie bialo-czerwonej - skąd to się wzięło. Mianowicie - Lwów został przecież właściwie oswobodzony przez Polaków, przez Armie Krajową. Ponieważ Niemcy byli już bardzo osłabieni, wycofywali się - wówczas Armia Krajowa zajęła Lwów. Cała AK się oczywiście ujawniła, wszyscy założyli bialo-czerwone opaski. No, ale we Lwowie były resztki Żydów i Ukraińców trochę było. I ci, co byli antypolsko nastawieni, oczywiście później zaczęli władzom sowieckim donosić. No, jak powiedziałam, wystarczyło, że ktokolwiek, ~~xxxxx~~ bez żadnych konsekwencji oczywiście dla siebie powiedział, że ktos miał opaskę bialo-czerwoną. To wystarczyło za dowód do aresztowania i wywiezienia na Sybir. I w ten sposób w 1945 r. wywieziono szalenie dużo młodzieży. Bo we Lwowie właśnie wywozki prawdopodobnie dotyczyły głównie młodzieży. Nie tak, jak w Kolomyi, gdzie zaczęło się od znacznie szerszych ludzi - przede wszystkim właśnie AK wyłapywano i wywozono. Często po wyroku, często bez wyroku.

Najczesciej dawano od razu wyrok, wzczesniej takie i takie przesluchania, krotsze, dluzsze, meczarnie lub nie, ale w kazdym badz razie wyrok i na Sybir !

Z nami sprawa byla tego typu, ze poniewaz u nas bylo cztery osoby aresztowane - siostra, ja, Ewa Jęczalik czyli ta kolezanka mojej siostry i Tadeusz Agopsowicz, o którym wspominalam juz ten Ormianin - to zaczeto robic przesluchania. Nie wiem, czy chciano to polaczyc w jeden proces ^{ma delo osobno} ~~jakos~~ ^{ale}. Poniewaz siostra moja ^{puslik} Ewa, calkowicie wyeliminowala z wszelkich obciazen, ze to przypadek, ze przyszla ja odwiedzic i tak dalej, to samo bylo z Tadeuszem - on sie tez do niczego nie przyznawal i mowil, ze przyszedl tylko w konkury do mojej sredniej siostry. A jednocześnie wtedy zaczeto poszukiwac tej mojej sredniej siostry Dzabelli.

Tymczasem ona, ostrzezona na dworcu we Lwowie (to co juz mowilam, ze znajomi czekali tam na nia) przyjechala do Lwowa takim wlasnie ewakuacyjnym pociagiem - wsiadla z powrotem do tego pociagu. Poniewaz wracajac z wiezienia po podaniu ojcu paczki ^{w starym staro} ~~(zabrala nasze rzeczy,~~ pojechala do Kolomyi i zabrala reszte naszych rzeczy - wobec tego w tym transporcie miala nasze wszystkie rzeczy. Wobec tego ^{Pojechala na dale, tym} ~~zostala w tym~~ (transporcie, na granicy ukryto ja w fortepianie, czy gdzieś tam i tak przejechala ^{do Polski Lwowa} granice. W Lublinie zglosila ^{na Gonyu Siedlu} ~~Tam~~ sie do urzedu repatriacyjnego, powiedziala, ze zgubila karte repatriacyjna. No, mloda dziewczyna, ²⁰ ~~18-19~~ lat, wobec tego wydano jej zastepcza karte ewakuacyjna i ona pojechala w Polske. To znaczy pojechala ^{na Gonyu Siedlu} ~~dokladnie do Zabrza.~~ (Nie wiem dlaczego akurat do Zabrza, chyba, chyba jechala z jakimis wojskowymi i ^{tam} ~~(dotarla do Zabrza.~~ ^{z niej} ~~Tam~~ jej przydzielono mieszkanie po dyrektorze Ogrodu Botanicznego, Niemcu, który byl na froncie rosyjskim i chyba tam zginął.

Tylko została jego żona i córka, które jako rodowite Niemki były przygotowywane do wyjazdu do Niemiec. One zajmowały jeden pokój, siostra zajęła drugi pokój. To mieszkanie później uzyskaliśmy. Jeszcze o tym będę mówić. Dala ona oczywiście od razu znak do znajomych we Lwowie, w razie gdybyśmy jechali, żebyśmy wiedziały, gdzie jechać.

A tymczasem myśmy siedziały w komisariacie na Zielonej, gdzie były te koszmarnie przesłuchania. Siostra moja była przesłuchiwana po rosyjsku, chociaż słabo знаła rosyjski, ale po rosyjsku, bo Rosjanin twierdził, że on rozumie wszystko po polsku. Natomiast ja byłam przesłuchiwana przez jakiegoś NKWD-zistę, który znał wspaniale polski. Mówił jak rodowity Polak. Tym trudniej było coś kreć. No, oczywiście walcowano cały czas: data urodzenia, imię, otchłość itd. i od nowa życiorys. I tak bez przerwy, bez przerwy, cały czas, a co to, a co to. To było straszne. to czasami całe noce trwało. To zresztą normalne sowieckie metody. Ostatniej nocy oni tak strasznie chcieli mnie (ja miałam wtedy 16 lat, a wyglądałam na 10) psychicznie złamać zupełnie. W sąsiednim pokoju przesłuchiwali tego Tadeusza Agopsowicza. Jego przesłuchiwał śledczy nazywający się Bereza, Rosjanin. Ten Bereza był znanym sadystą. To był wysoki, silny chłop, który piekielnie walił. Na nim prawdopodobnie w czasie tego przesłuchania połamał co najmniej dwa krzesła jak nie więcej, bo ja tylko słyszałam straszne odgłosy właśnie walenia i łamania. Strasznie go bił wtedy. Oczywiście, jak go później przeprowadzono przez pokój w którym ja byłam, oczywiście specjalnie - był naturalnie ^{cały} pokrywiony, pokazał mi gestem, żebym się trzymała.

Wtedy nastąpił przełom. Mianowicie okazało się, że pani Wajcmanaowa przypomniała sobie o mnie i doniosła o tym, że ja

(zrobili mi a nie konfrontacje)

przyszłam palić dokumenty. Wobec tego - co to za dokumenty,

co to za dokumenty ! Ja mówię, że nie wiem, to były jakieś

papiery, o których ja nie mam zupełnie pojęcia, przecież ja

we Lwowie nie mieszkalam, o niczym nie wiedziałam. *istotnie nie były to moje siostry* (I oni na

tym właściwie zakończyli śledztwo, bo to im wystarczyło.

Jak jeszcze ta Wajcmanowa doniosła, że jeszcze jakieś były pa-

pieri więcej, niż te dwie kartki, którymi straszili moja

siostry, to po prostu im potrzebny był jakiś pretekst. A tu się

jeszcze jedna osoba zgłosiła na potwierdzenie tego, wobec tego

na tym śledztwo zakończono. Ale prawdopodobnie w międzyczasie

bardzo silnie działali rodzice tej Ewy Jeczalik i prawdopodob-

nie tam trochę podplacili. Dlatego, że ona była właściwie bar-

dzo ulgowo traktowana, trochę tam przesłuchowana, ale prawdopo-

dobnie była przewidziana już, że ja tam wykupię. Wobec tego

właściwie procesu nie było komu robić. Bo co - dwie siostry

będą sadzić ? Ten zupełnie się do niczego nie przyznaje, ta

też nie, no wobec tego tylko dwie siostry zostały, to nie było

o co proces robić. I wobec tego nie poszliśmy na żaden proces,

żadnego wyroku nie dostaliśmy. Ja mam zresztą taka "sprawka"

jeszcze, że jako "podśledstwiennaja" zostałam zwolniona, poz-

niej znacznie. Przeniesiono nas do więzienia, Ja poszłam do

więzienia na Jachowicza, a siostra moja do więzienia na Snop-

kowskiej. To było ponoć wówczas najgorsze więzienie, bo to było

poprzednio więzienie gestapo we Lwowie, podobne do Alei Szucha

w Warszawie. Później zajęło je NKWD, tam straszne rzeczy się

działy, to więzienie było straszne. Ona już tam jednak prze-

śluchiwana nie była, jeśli, to tylko tak sporadycznie, a głów-

nie tam siedziała w więzieniu. Natomiast ja byłam na Jachowicza

przez 3 miesiące. Dokładnie nie pamiętam, ale w maju chyba

wyprowadzono nas.

Jak tylko znalazłam się na Jachowicza w bardzo niedługim czasie do mojej celi, a było nas tam mnóstwo, bo to były cele jeszcze przedwojennego więzienia i do tego spore, wobec tego ludzi tam napychano strasznie dużo - myślę, że było około 100 osób - przyprowadzono jeszcze niedużą grupę chyba z 5 osób, wśród których ku swojemu szalonemu zdziwieniu zobaczyłam swoją mamę. Tam były oczywiście same kobiety. Mysły się tam wtedy z mamą spotkały na bardzo krótko, bo oni się dość szybko po nazwisku zorientowali, że my jesteśmy matka i córka i wobec tego w bardzo krótkim czasie zabrano mamę stamtąd, z powrotem na Kazimierzowska. O ile pamiętam. Z tym, że na szczęście mama już długo nie siedziała. A ja zostałam na Jachowicza z Ewą Jeczalik, z tą koleżanką siostry i z Krystyną Myszkowska, o której opowiadałam, że za opaskę białą-czerwoną siedziała na naszym komisariacie. Ewa Jeczalik bardzo niedługo potem została zwolniona. Rodzice prawdopodobnie ją wykupili. W tym samym więzieniu, tylko piętro wyżej w celi męskiej siedział Tadeusz Agopsowicz. Oni się tam kontaktowali, ponieważ z Ewą się znali więc jak to w więzieniu, w jakimś sposób się kontaktowali. Bardzo często było tak, że ponieważ ja byłam mała i bardzo lekka, wobec tego najwyższe dziewczyny brały mnie na barana i ja rzucałam przez okno grypsy do mężczyzn, którzy akurat byli na tzw. pragułce, czyli na spacerniku. W ten sposób dowiedzieliśmy się, że Tadeusz Agopsowicz zachorował na tyfus i poszedł do szpitala. To był dość sprytny facet, dowiedział się, w jaki sposób zrobić gorączkę, chyba mleko się wstrzykuje, czy coś. A ponieważ był to bardzo przystojny, jak to wszyscy Ormianie mężczyźni, wobec tego pielęgniarki mu pomogły, no i znalazł się w szpitalu. Miał bardzo wysoką gorączkę, więc lekarze powiedzieli, że to tyfus, wobec czego nie było do niego dostępu. Tylko żołnierz

siedział pod drzwiami, bo to przecież zakazny szpital. Pielęgniarki przygotowały mu w ubikacji ubranie, on ^{ja} ~~się~~ znalazł w ubikacji, przebrał się, ^{myślał} ~~przez~~ okno, no i oczywiście uciekł. A potem przez zieloną granicę i do Polski. Później się znalazł w Gdańsku, skończył politechnikę gdańską i był później specjalistą od budowy okrętów. To tyle jego historia.

Natomiast Ewa Jeczalik zwolniono i ona z rodzicami zaraz bardzo szybko potem wyjechała do Polski i we Wrocławiu skończyła historię sztuki. Wobec tego w naszej sprawie została moja siostra na Snopkowskiej i ja na Jachowicza. Więcej się już nie ~~widziałyśmy~~ ^{zobaczyły} od momentu, jak się rozstałyśmy w komisariacie. ^{Ja} ~~Jeszcze~~ ^{nie} zrobiono między nami konfrontacji tam na Zielonej przed odprowadzeniem do więzienia.

I przyszedł koniec wojny. Ja oczywiście o niczym nie wiedziałam, siedziałam na Jachowicza gdzieś do końca kwietnia chyba. Wtedy nas wyprowadzono - nie tylko kobiety, chyba mężczyźni też, ale już tego nie pamiętam. Pamiętam masę kobiet! Przez cały Lwów nas przeprowadzono - nie wiedziałyśmy oczywiście, gdzie idziemy. Wyprowadzono nas na ul. Pełtewną. Pełtewna to jest ulica (no, pewno teraz to gdzieś tam w mieście jest) na peryferiach Lwowa. Tam były prawdopodobnie niemieckie, a może jeszcze przedwojenne, ale chyba niemieckie baraki jednopietrowe, murowane. Było ich chyba 14. Były tam sale, mniejsze lub większe, bez żadnego umeblowania oczywiście, bez niczego. Podobnie jak w więzieniu nie było żadnych prycz, dlatego jak się w Polsce znalazłam i dowiedziałam się o Oswiecimiu i o pryczach, ^{system b. zła i nędza} ~~to takie~~ ^{oczywiście} robiłam, bo dla mnie to było nieprawdopodobne, że więźniowie na pryczy leżeli. U nas się leżało na betonie i chodziły po nas szczury. Te panie, które nie mogły spać,

to odganiały te szczury.

Wieżenie na Jachowicza było to stare wiezienie, zniszczone już dosyć. Przede wszystkim były tam straszne szczury. Podobno każdej nocy nas odwiedzały. Ja jako młoda dziewczyna spałam snem kamiennym na swoim kozuszk, bo tylko kozuszek miałam na sobie. Służył on mi jednocześnie jako materac i kołdra. A ponoć po mnie, nawet łącznie z twarzą, laziły szczury. Tak mi opowiadały koleżanki z celi, które nie mogły spać. Wiadomo, że starsze osoby nie zawsze śpią kamiennym snem. Ja tego nigdy nie widziałam na szczęście, ale boje się straszliwie szczurów od czasu tych opowieści. W celi była właściwie sama inteligencja - były starsze panie, ale głównie właściwie młodzież. Oprócz tych dwóch o których mówiłam była jeszcze dalsza koleżanka mojej siostry najstarszej, o której parypotiach nie wiem. Właściwie tam się o swoich losach nie mówiło. W ogóle nie mówiło się o przesłuchaniach, raczej wspomnieniami się żyło z najlepszych czasów. Mówiło się nawet o jedzeniu, o potrawach. Jedzenie było okropne bo to były jakieś wywary. Najbardziej pamiętam jedzenie z wiezienia, a później z Pełtewnej. Dostawało się trzy razy dziennie to znaczy: na śniadanie mała kostka czarnego chleba, który był tak czarny, że i dziś właściwie nie ma porównania. Ja nie potrafię porównać. Ciemno-brazowo-czarne to było, lepkie, miękkie, no ale człowiek był głodny, wobec tego wszystko zjadał. Nie wiem wagowo, ile, mogło to być 10-20 dkg, nie wiem. Nie chcę powiedzieć źle, w każdym razie ja pamiętam tylko taką małą kosteczkę. I to było śniadanie, do picia była jakaś woda czy inna "bazaenda".tzw., ale nie pamiętam tego dokładnie. Natomiast okropny był obiad, który dawano w takiej blazanej misce. Najlepsza zupa to była z bobu, ale bob to był wielkości ziarenek grochu. To było koloru brazowego i dla nas było to, na owe

czasy pyszne. Bo to było najlepsze, co mogło być. Najstraszniejszy to był wywar ze śledzi. I dlatego do dzisiejszego dnia zupa rybna to jest dla mnie koszmar. Nawet gdyby była nie wiem w jakiej restauracji, na jakich cudach zrobiona - bo to mi przypomina te zupy ze śledzi. To były rozgotowane śledzie z pływającymi szczatkami szkieletów, śmierdzące, słone - ohyda ! I tego się nie dało nawet przy największym głodzie jeść - ja w każdym razie tego nie pilałam, nie jadłam, bo tego się nie dało zjeść. Natomiast wielką była radość, jak była zupa z bobu. Na kolację był znow taki kawałek chleba i coś do popicia. I to było całe wyżywienie więzienne. Wówczas to się trochę odczuwało głodu, ale człowiek jeszcze miał trochę ciała, zapasów z wolności i jeszcze to tak się strasznie nie odczuwało. Później, pod koniec pobytu na Jachowicza okazało się, że mój wuj, ten brat mojej mamy, który jak opowiadałam jako jedyny nie skończył studiów tylko miał zakład stolarski po dziadku - dowiedział się gdzie ja jestem i jego córka przynosiła mi codziennie przekąski w postaci obiadu. Tak że ja właściwie już pod koniec pobytu na Jachowicza miałam się zupełnie dobrze, bo miałam codziennie obiad domowy. Krótka to było niestety, bo zaraz potem nas z tego Jachowicza, jak mówiłam, ustawiono w kolumny otoczone przez żołnierzy z karabinami i psami i wyprowadzono z tego więzienia. Stosunek strażników do więźniów był w tym więzieniu obojętny. Oni nie byli tacy straszni. Z tego, co pamiętam, to byli ^{cyganie} ~~to~~ tylko Rosjanie. I jak opowiadałam, że ja rzucałam grypsy przez okno, to kiedyś któryś ze strażników będących na spaceru zobaczył mnie. Wobec tego chodził po wszystkich celach i szukał tej, co to "broszła" listy. No i poznał mnie. ! Zabrali mnie z celi na przesłuchanie. Ale ja wyglądałam na małe dziecko i ten patrzył na mnie z politowaniem. Co prawda nawet zaczął

niby to szasznie na mnie wrzeszczec, zebym sie wystraszyła - a ja juz bylam ^qdoswiadczona wiezniarka i mowie - ja ? Skad, wykluczone, jemu sie przywidzialo, to niemozliwe, to on sie pomyšil. Przeciez ja bym do okna nie dostala, przeciez to tak wysoko to okno, ja tam zadnych listow nie rzucalam !

No i oczywiscie na tym sie skonczylo. Tam jeszcze troche postraszyli, postraszyli i pascili mnie z powrtotem do celi. Tylko takie mialam przygody.

Na ogol tez na zadne przesluchania nie brano, nie przypominam sobie tego. To bylo takie normalne, obojetne wiezienie, dlatego, ze pozniej oni zbierali z wiezien wszystkich i przenosili na tzw. "peresylnyj punkt". I ten peresylnyj punkt byl na Peltewnej, o ktorej juz zaczalam opowiadac, na peryferiach Lwowa. Obok byly tam tylko pola i ogrody warzywne. Tam bylo 13 lub 14 jednopietrowych budynkow, tych takich typu barakowego z pochylym dachem kryte czerwona dachowka. Baraki byly z cegly. Tam byly takie sale, gdzie czasami trzymano nas po 100. Wiem, ze w jednym pokoju, przypuszczam, ze nie byl wiekszy niz ten pokoj (ok. 17 m²) - bylo nas ponad 100. Bylo szasznie ciasno, lezac obracalysmy sie razem, na komende.

Tam na Peltewnej znalazlam sie gdzieś chyba w kwietniu 1945 r., w kazdym razie przed koncem wojny. To jest dosyc wazne, bo juz bylam na Peltewnej, gdy nastapil koniec wojny. Dlaczego o tym pamietam ? Przeciez myamy nie mieli zadnej wiadomosci, nic nie wiedzielismy, co sie dzieje, jak toczy sie wojna itd.

Ale wroce jeszcze do mojej mamy, ktora byla w wiezieniu i jak sie wojna skonczyla, no to Stalin postanowil byc szasznie laskawy i (co sie pozniej, znacznie pozniej dowiedzialam) wydal amnestie. Podobno dla wszystkich kobiet powyzej 60 lat

i dla nieletnich. Wiem, że obejmowała ona już 1928 rocznik. No, czyli po prostu do 16 lat. To obejmowało i mamę i mnie. I rzeczywiście, na mamie się to sprawdziło, bo nagle 9 maja mamę wywołano i kazano sobie iść do domu. Mama została zwolniona wtedy. Oczywiście wróciła tam na Tarnowskiego. Niby to mieszkanie nasze było zaplombowane, ale weszła, bo jako zwolniona to już jej wolno wejść ! Pani Wajcmanowa zdaje się była mocno rozczarowana, ale trudno ! Mama zorientowała się, że zginęły najwartościowsze rzeczy, m.in. jej futro, jakieś biżuteria, jakieś srebra. Okazało się, że to nie Sowietki, ale taka dozorczyńca domu, która mieszkała najniżej. Mama dowiedziała się, że ona już jest w transporcie do Polski - oczywiście dopadła ją jeszcze na dworcu i odebrała to. Ona się tłumaczyła, że ona to chciała przechować dla nas. No, jakos się udało ! Mama nabrała zresztą wtedy wigoru, no miała 60 lat, ale była tak szalenie energiczna - wypuszczona z więzienia, a więc w pełnych prawach ! I do tego stopnia doprowadziła, że podobno wszyscy ci Sowietki, którzy byli na Zielonej, na tym komisariacie - zostali podobno aresztowani. W każdym razie, jeśli nie aresztowani, to wyrzuceni z tych stanowisk i przynajmniej miała taką satysfakcję, że ich tam rozgromiła na tej Zielonej. Rozsądzała ją chęć odwetu !

Ale następna, najważniejsza dla niej sprawa było dowiedzieć się, gdzie ja jestem i gdzie jest siostra Anna, no i żeby nam podać coś do jedzenia. Od tego momentu poszukiwała nas, aż znalazła. Ze mną była prosta sprawa, bo się dowiedziała, że ja już jestem na tej Peltewnej i tam mi podawała przynajmniej raz na tydzień paczkę, Peredacze, natomiast siostry przez długi czas nie mogła znaleźć. Odwiedziła wszystkie więzienia podając paczki, ale z każdego jej zwracano i nigdzie jej znaleźć nie mogła, nie wiedziała w ogóle, co się z nią dzieje.

A ponieważ na te Peltewną przychodziły transporty ze wszystkich więzień, wobec tego ja starałam się skontaktować się z nowoprzybyłymi z różnych więzień i pytałam od razu, czy nie spotkali siostry. Az w końcu trafiłam na kogoś, kto powiedział - no jak, przecież ona jest na Snopkowskiej ! Przecież ja z nią byłam do wczoraj na Snopkowskiej ! Więc ja wobec tego mamie w tzw. grypsach, które się pisało (mam zresztą serie tych grypsów, zostały mi do dzisiaj) - dałam jej znać, że Hanka jest na pewno na Snopkowskiej. No i mama się uparła i zaczęła kolejno tam podawać przedadze i za którymś razem jednak ta przedadza została przyjęta, now więc potwierdziło się, że ona tam jest. I od tego czasu moja najstarsza siostra dostawała przedadze.

Ale przede wszystkim mama chciała także dowiedzieć się, co się dzieje z ojcem. Przecież myśmy nic nie wiedziały o ojcu, bo jak zostaliśmy aresztowani, to przecież się urwał kontakt. Rojechała więc do Stanisławowa, poszła tam od razu do tego więzienia. To był już czerwiec. W więzieniu powiedzieli, że takiego tu nie ma. Więc mama zaczęła tłumaczyć, że był wywieziony tego i tego dnia z Kolomyi, ale oni stanowczo się upierali, że nie ma. I za którymś tam razem, gdy się upominała i poszła aż do naczelnika więzienia - on zaczął grzebać w jakichś papierach i mówi - no, jak to, myśmy go zwolnili 6 czerwca jako "niesuźdionny i niewinowaty". Mama wróciła ze Stanisławowa i dała mi o tym znać, że podobno ojca 6 czerwca zwolniono. A jak się znalazłam na Peltewnej, to początkowo siedziałam w celi - i to było straszne. Zaczęło się zbliżać lato i dni zaczęły być strasznie długie. Siedzenie w tym zaduchu wśród innych kobiet, bez ruchu - to było straszne. I mnie się udało - nie wiem jakim cudem, kto mi to ułatwił - dostać pozycję

tzw. sanitariuszki. Na Peltewnej była przychodnia zdrowia i dentystyczna i w obu tych pokojach trzeba było utrzymać porządek, to znaczy myć podłogi. To się nazywała "sanitariuszka". No i ja te podłogi myłam, wszystko było pięknie-ladnie, ale pracując miałam prawo poruszać się po całym obozie. I właśnie dzięki temu dowiedziałam się o siostrze, że jest na Siołkowej, bo mogłam się poruszać wśród więźniów, mogłam chodzić z baraku do baraku, co normalnie było niedozwolone. I przede wszystkim widziałam każdy transport, który przychodził do tego "przesyłnego punktu" z różnych więzień czy innych "przesyłnych punktów". Widziałam tam szalenie dużo rzeczy ! M.in. jak przyszedł transport, to ich usadzano w odpowiednim porządku, np. osiemkami. Wszyscy z nich, oczywiście potworne kociotrupy, w strasznym stanie, siedzieli na swoich wezelkach. Nie bardzo mogłam między nimi chodzić, bo strażnicy pilnowali, ale mogłam się ukradkiem zapytać - skąd ? Odpowiadali mi więc: a to ze Stanisławowa, Kołomyi, z Tarnopola, z różnych miejscowości, bo ich wszystkich zewsząd przywozono do Lwowa. Stąd dopiero szły ogromne transporty na Syberię. - po 2 tysiące, po 4 tysiące. Względnie od czasu do czasu szły mniejsze grupy - to się już nie nazywały transporty, tylko konwoje chyba. Transporty to były do 4 tysięcy, a tamto nazywał się chyba konwoj - szło nim maksymalnie 50 osób.

I pewnego pięknego dnia idę tak przez plac i widzę taki transport siedzących na wezelkach cieni i nagle słyszę - Ewa ! Drgnęłam, patrzę - podnosi się taki truposz. Kompletnie nie wiem, kto ! To ja tak strasznie wyglądam, że pani mnie nie poznaje ? - pyta. No i wtedy - Julek Donszak ! Oczywiście to był Juliusz Donszak, a Donszakowa to była ta pani, u której myśmy mieszkali za pierwszych Sowietów. Oczywiście on mi nie powiedział, że ona podpisała volksliste, ja się dopiero

pozniej dowiedzialam. On mi tylko powiedzial, ze jego matka jest juz dawno wywieziona do Donbasu. Natomiast on byl tez aresztowany, siedzial w Stanislawowie, siedzial w Stanislawowie w wiezieniu. Ja mowie - panie Julku, a nie spotkal sie pan przypadkiem z moim ojcem ? To pani nie wie, ze ojciec nie zyje ?! - on na to. I tu - no nie wiem, co sie ze mna stalo, w kazdym razie on powiedzial tylko - oj przepraszam, ja nie wiedzialem, ze pani nie wie ! Musialam sie widocznie zmienic na twarzy, w kazdym badz razie dla mnie to byl straszny cios. Jeszcze chwile z nim porozmawialam tak odruchowo, poszlam do takiej osoby, ktora najbardziej lubilam - pani Jankowska, zreszta bliska krewna, jesli nie zona Jankowskiego, tego delegata rzadu. Tak mi sie wydaje, ze to ona byla, bo ona pozniej, jak wychodzilam, dala mi gryps do ksiedza do katedry we Lwowie. I u tej pani Jankowskiej na kolanach przeplakalam wiadomosc o smierci ojca. Oczywiscie ~~w~~owczas zdalam sobie sprawe z tego, co widzialam na ~~codzien~~ i co bylo wlasciwie chlebem powszednim na Peltewnej. Mianowicie codziennie, ~~rande~~czy wieczorem wywozone byly trupy. Poniewaz oprócz tej przychodni zdrowia, w ktorej ja pracowalam, byl ^{tu}szpital. Do niego nie bylo wstępu, ja tam nigdy nie mialam prawa wejsc, ale tam to byla wlasciwie tzw. umieralnia. Stamtad codziennie wywozono trupy. Nawet we Lwowie, to nie tylko dzialo sie tak na Syberii, w normalnych lagrach, ale i w centrum Europy, we Lwowie - te trupy ze szpitala byly wywozone gole, bez ubrania, bez niczego. I ja dzien w dzien widzialam te trupy, ale to byli obcy ludzie, ja przywyklam juz do tego widoku. W momencie. jak sie dowiedzialam, ze ojciec moj nie zyje - te trupy staly mi sie bliskie, bo ja wiedzialam, ze w ten sam sposob wywieziono i mojego ojca. To tym bardziej poglabialo te straszna tragedie, o ktorej sie

dowiedziałam.

Oczywiście mamie bałam się dać znać o tym. I jeszcze w dodatku wiedzieć o tym, że ona ma taką wiadomość, że ojciec został zwolniony. Aha, ja jeszcze od tego Julka usiłowałam dowiedzieć się bliższych okoliczności i kiedy. I on mi powiedział, że ojciec zmarł na "panos", to znaczy to jest biegunka, coś w typie krwawej dyzenterii. On nie wiedział dokładnie, kiedy, na pewno w każdym bądź razie to było jeszcze. Wówczas skojarzyłam sobie taką historię, że wcześniej, niż tego Julka - ja spotkałam młodego człowieka (ponieważ ciągle się dopytywałam o różnych ludzi, którzy by przypadkiem ze Stanisławowa byli przywożeni), ja wówczas nie pracowałam, ale on się dowiedział, że ja jestem. Natomiast nie wiem, skąd ~~znalazł~~ dowiedział się mojego nazwiska. W każdym razie stało się tak, że spotkalismy się w piwnicy tego baraku, w którym on w jakiejś celi siedział i ja. Nie pamiętam niestety ani jego nazwiska, ani imienia, bo to był już okres, kiedy ja zaczęłam tracić pamięć. On mi tylko tyle powiedział, że siedział w jednej celi z ojcem. Opowiadał takie szczegóły z naszych rodzinnych spraw, że doszłam do wniosku, że jest niemożliwe, ażeby to był fałsz, że na pewno musiał siedzieć z ojcem. Był w wieku gdzieś przypuszczam dwudziestu paru lat i ojciec go szalenie podobno polubił, tak jak opowiadał. Nawet mówił podobno - tak bardzo bym chciał, żeby się pan z którąś z moich córek ożenił ! Opowiadał mi wszystko o ojcu. Powiedział, że ojciec był cudowny, powiadał, że był najstarszy z nich - dodawał im wszystkim otuchy. Opowiadał im o różnych sprawach, o wszystkim z nimi rozmawiał. Śpiewał pięknie, ojciec zresztą miał wspaniałą głowę. I on z takim rozrzewnieniem ojca wspominał, ale nie powiedział mi nic, jak sprawa się skończyła. Ja z tych jego opowieści

zrozumiałam, że on ~~po~~ prostu zostawił ojca wtedy, kiedy go zabrali. Później mi się tylko coś skojarzyło, że on mówił coś o 17 kwietnia. Ale ja nie mogłam tego zrozumieć. Prawdopodobnie tak jak później sobie skojarzyłam, gdy Julek powiedział mi o śmierci ojca - że ta data 17 kwietnia, która kilka razy przewijała się u tego młodego człowieka - że to była data śmierci mojego ojca. I ponieważ on się zorientował, że ja nic nie wiem - nie powiedział całości, nie powiedział, że ojciec już nie żyje. W parę dni po tej rozmowie on został oczywiście wywieziony. Wtedy pojechał ogromny transport, chyba że 4 tysiące ludzi, nie wiem gdzie, w każdym razie na Sybir. Nawet gdyby przeżył - nie mogę go wezwać, nie mogę się z nim skontaktować, bo nie pamiętam ani imienia, ani nazwiska. Tak więc później, jak echem wróciło to spotkanie z tym młodym człowiekiem data 17 kwietnia.

Ponieważ mój dziadek zmarł 17 kwietnia 1926 r. - w każdym razie moi wszyscy dziadkowie umarli przed moim urodzeniem, jak powiedziałam moi rodzice dość późno się pobrali, dziadek Stanisław Linda zmarł 17 kwietnia, jego brat Hubert, który był założycielem PKO zginął w Warszawie od kuli zamachowca 17 kwietnia, ktoś tam jeszcze z rodziny - w każdym razie po męskiej linii bardzo wiele osób zmarło 17 kwietnia. Sama moja mama umarła 19 kwietnia 1968 r., więc też blisko tej daty. W każdym bądź razie ta data 17 kwietnia jakby się łączyła z tą rodziną.

Tę zresztą zebrał taki przyjaciel rodziny pan Chodorowski, który był bibliofilem i różne ciekawostki zbierał. I on mi we Lwowie pokazywał ten zbiór, gdzie miał wszystkie daty śmierci. *myślę że chodzi o nekrolog rodziny Linda* (I właśnie wtedy wpisał sobie, kiedy już wyszłam z więzienia i powiedziałam, że prawdopodobnie 17 kwietnia - swoim piórem ojca nekrolog.

Dalam sie to wtedy mamie przekazac, ale w koncu jakos ogrodkami w tych grypsach dalam mamie do zrozumienia, ze ojciec nie zyje, ze sie z kims ^{uła mi się przyznała} spotkala. Mama jakos to spokojnie przyjela, moze bardziej bala sie tego zwolnienia 6 czerwca, nie uwierzyla w to, bo przeciez by nas szukal. Wówczas napisalam mamie dokladnie, co mi ten Julek Donszak, powiedzial. Wtedy tez ^{bo nawet wychodził tam do pracy po obiedzie} juz sie coraz czesciej z mama widywalam. Co mama moja robila. We Lwowie szefem NKWD okazal sie byc niejaki pan komandir Kompancew. Imienia nie znam, ale pamietam - Kompancew.

Moja mama, jak juz opowiadalam byla szalenie energiczna, jak mowie ^{Tam na miejscu z wyznaczeniem} - (rozrabiala, cale NKWD, rozstawila tam po katach. Trafila na nazwisko tego Kompancewa, malo tego-- dowiedziala sie, gdzie on mieszka. Dowiedziala sie, jak on wyglada. Nie wiem, kto jej powiedzial, ze po niego codziennie rano przyjezdzal samochod, zabieral go z domu do pracy gdzieś tam na NKWD. Mama moja postanowila go dopasc. Codziennie rano przychodzila jak on wychodzil z domu, kiedys podbiegla, jakos tam widocznie ^{ty} nic nie zrobiono, dosc, ze podala mu pismo. W tym piśmie napisala o mnie i o mojej starszej siostrze. On byl bardzo zaskoczony, bo nigdy mu sie nic takiego nie zdarzylo, ale wzial to, bo nie wiedzial, co to jest. No i przeczytal. I co sie okazalo - od tego momentu mama codziennie tam rano przychodzila i krzyczala, jak on wychodzil - "widajcie wy ^{mu} mi moju detynu". Jest to tak raczej po ukraïnsku, ^{uła} jak po rosyjsku, ale wszystko jedno zrozumiale dla Rosjanina. To sie powtarzalo regularnie, niemal codziennie. W koncu pewnego pieknego dnia on juz mial tego tak dosyc, (a mama byla stara, wypuscili ja dopiero co z wiezienia, wiec drugi raz juz nie mogli jej aresztowac), ktoregos dnia juz byl na nia taki wsciekly, ze **dkrzyknal** mamie "za Ewu to ja budu prosyty, ale Anna to wrog naroda".

Dobre i to ! No i rzeczywiscie, nie bardzo w to wierze, ale moze rzeczywiscie cos tam podzialal. W kazdym razie byl poczatek wrzesnia, ja pracowalam i pewnego dnia przyszla sowietka, wolna, z wydzialu zdrowia, Rodjanka na komisje, na kontrole. A ja jestem krotkowidz i oczywiscie przez caly czas wiezienia i obozu nie mialam okularow. A mialam wowczas minus 4,5 - 5,5. Podlogi mylam pieknie, ale zeby tam cos widziec po scianach - gdzie, z moim wzrokiem ? I ta przyszla na kontrole - chodzi, chodzi, nagle wola mnie - a pajuki ty widisz ? (tzn. a czy pajeczyny ty widisz ?) Niet, nie wižu ! No, to ja jeszcze bardziej szlag trafil - skad ona ma wiedziec, ze ja jestem krotkowidzem i rzeczywiscie nie widze ! Szlag ja trafil i tego samego dnia wywalili mnie z raboty. Wobec tego wrocilam normalnie do coli, w ktorej dotychczas tylko nocowalam. Bylam teraz normalnie z innymi wiezniarkami, ktore nie mogly wychodzic i osiadlam na stale. Nie bardzo mi sie to podobalo, poniewaz co innego, jak sie chodzi, rusza po calym obozie, a tu nagle taka historia ! Ale prosze sobie wyobrazic, ze to byl dziwny zbieg okolicznosci, Bo tego samego dnia, albo moze na drugi, w kazdym razie bardzo blisko tego - nagle przychodzi straznik i wzywa mnie na przesluchanie. Strasznie zdziwiona ide do glownego budynku, gdzie byl caly zarzad obozu. Wprowadzaja mnie do jakiegos pokoju, gdzie jest taki dlugi (pamietam jak dzis) stol. Siedzi tam tych sowietow sporo, na samym koncu - jako krotkowidz widzialam tylko - jakis mezdzyzna w mundurze, chyba jakis wysokiej rangi, tak na czole stolu. Po bokach te pomniejsze urzedniki. I tak, posadzili mnie na przeciw niego i zaczeli mnie przesluchiwać. Normalnie - imie, otczestwo, famiłia, caly zyciorys. Wiec ja juz sie trzymalam tego, co pamietalam ze kiedyś mowilam. W pewnym momencie on mowi tak - a czy ty wiesz, ze ty idziesz do domu ? A ja mowie - eee, to niemozliwe ! Oczywiscie rozmowa cala odbywala sie

po rosyjsku. A on mówi - a tak, tak, idziesz do domu ! Twoja matka ciebie wyprosiła ! Zaskoczyło mnie to zupełnie, ja o tym nic nie wiedziałam. Przecież nie miałam kontaktu i mama mi nie dawała znać, że jakieś starania robi. Po tym przesłuchaniu kazali mi tam coś podpisać. Była to sprawa o pobycie w więzieniu. Kazali mi - sobirajsia s wieszczami - i wynocha ! Wrocilałm więc do celi i powiedziałam, że wychodzę. Podobno ! Powiedziałam - słuchajcie, ja podobno wychodzę, kazali mi się zabierać z rzeczami. ! A - jeszcze mi przygrozili: pamiętaj, żadnych listów, żadnych wiadomości, od nikogo nic nie bierz, jak by ci chcieli dawać ! Wszystkie oczywiście rzuciły się do pisania listów i wiadomości różnych. Trwało jakieś czas, aż się spakowałam i potem z tymi "wieszczami" wyszłam. Ale do tego wróce.

Jeszcze wcześniej, nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale na pewno na początku września - zostałam wywołana na konwoj. To znaczy było nas wywołanych 50 kobiet. To było tzw. "sobirajsia s wieszczami", czyli zabieraj się z rzeczami. To były straszne momenty, bo nigdy nie było wiadomo, co to jest. Czy to jest wyprowadzenie na etap, czy tylko przeniesienie z celi do celi. Słychać było takie wpadanie, łomot do celi, łomot otwieranych drzwi, w których stał taki NKWD-ysta i krzyczy "sobiraj s wieszczami !!!" I potem wyprowadza każda po kolei. On wywoływał nazwisko i trzeba było powiedzieć imię i otczestwo I wychodziło się. I albo wychodziło się tylko do zmiany z celi do celi, albo do tragicznej wywozki. Wtedy szło się do tzw. "bani". To było straszne ! Bania to była straszna rzecz. Z jednej strony konieczna, z drugiej strony straszna. To mieliśmy co tydzień, tak samo w więzieniu, jak i później na Peltownej,

Na czym polegała ta bania ? To była łaznia, opis podobny jest jak znany z niemieckich obozów - betonowa posadzka, prysznice. Tylko w sowieckich więzieniach czy obozach prysznice były nieczynne, nigdy. Tam co prawda Niemcy wypuszczali gaz, a tutaj były w ogóle nieczynne. Mysmy dostawali takie małe miseczki - ale muszę opowiedzieć od początku, chociaż było to koszmarnie !

Przychodziło się do rozbieralni, gdzie trzeba było zrzucić z siebie wszystko, niezależnie, czy były to same kobiety, czy też kobiety i mężczyźni razem. Najczęściej jednak robiono tak, że rozbieraliśmy się, gdy były same kobiety. Wszystkie rzeczy, któreśmy miały, oddawano do odwszalni. To szło do takiego jakiegoś pomieszczenia, gdzie była jakaś ogromna temperatura. Te rzeczy się bardziej paliły niż dezynfekowały, z tym, że temperatura z kolei była nie na tyle wysoka, żeby te wszy zabić, jeśli były. Ale powodowało to, że wszy rozlażyły się i pierwszą rzeczą, jak się wracało do celi, było rozpoczynanie odwszania. Najtragiczniejsza dla kobiet rzeczą było pomieszczenie między rozbieralnią, a samą banią. Mianowicie siedział tam rząd fryzjerów. To byli tylko mężczyźni, ^{tu mężczyźni} przenajmniej autentyczni fryzjerzy lwowscy, albo ludzie, którzy się podawali za fryzjerów tylko, aby mieć jakieś zajęcie. Bo jak mówię - nie było nic gorszego, jak siedzenie w celi. Wobec tego ci mężczyźni mieli brzytwy i umieli lub nie umieli golić i strzyć. I to było tragiczne, bo to nie o głowy chodziło, tylko o pozostałe części. Dla wszystkich kobiet to było straszne, bo bardzo często były poranione. Może nawet niechcący, nieumyślnie, bo to przecież byli Polacy. Tylko że nieumiejetnie się obchodzili z tą brzytwą. Były panie, które miały później piekielne wrzody i straszne historie. Dla mnie to było z kolei z innego powodu

piekielne. Ponieważ ja byłam strasznie młoda i jak mówiłam jeszcze niezupełnie rozwinięta, zarost miałam bardzo mały, wobec tego od razu zainteresowanie - to ile pani ma lat ? To straszne było, koszmarnie, co najgorsze - trzeba było nogę podnosić... To było straszne, uwłaczające wszystkiemu... No i po tej katordze szło się do zasadniczej części, gdzie były ławy, na których stały małe miseczki metalowe, w których była odrobina wody. Mydło trzeba było chyba mieć swoje, ręcznik chyba też - nie, ręcznika nie było wcale, bo im chodziło o to, żeby kobiety były całkowicie nagie, żeby się nie przykrywały niczym. Trzeba się tam było w tej niewielkiej ilości wody umyć. Wiadoma rzecz, jak można się w takiej miseczce wody umyć ! No i takie niedomyte, tylko tam trochę umoczone w tej wodzie szłyśmy do następnego pomieszczenia, gdzie już podawano tę potwornie gorącą odzież, na której było mniej lub więcej wszy. Ubierałyśmy się i wychodziłyśmy - na Jachowiczę jeszcze to na mroz, bo to była jeszcze zima, a na Petlewnę to już nie było takie przykre, bo to było już lato. To była jedna z tych strasznie przykrych rzeczy.

Teraz przerwa i wróćmy do czegoś zupełnie innego, do zakończenia wojny.

Ja jeszcze wówczas nie pracowałam, siedziałam w celi. Było to strasznie paskudne, siedziało nas mnóstwo, były głównie Polki i były też Ukrainki. Jako że już strasznie dużo Ukraińców aresztowano i mieszano nas, te Ukrainki były strasznie wypłoszone, tak że nie były jakieś agresywne. Przeważnie były to kobiety ze wsi. Ale od czasu do czasu do celi wpuszczano także złapane gdzieś tam Rosjanki, zwykłe, ordynarne złodziejki. Nie zapomnę jednej celi, gdzie było straszliwie ciasno. Tam była taka cela mieszana, były Ukrainki i Polki.

Było prawie pol na pol, więc atmosfera była niezbyt przyjemna, ale nie wroga.

Pewnego razu wpuszczono trzy Rosjanki. To były po prostu dziewczyny lekkiego prowadzenia i przy tym złodziejki. Na złodziejstwie zostały złapane, czy na prostytucji - już nie wiem. Co one tam wyprawiały, to się w głowie nie mieści ! Ja wówczas jeszcze nie wiedziałam, na czym polega miłość lesbijska, wtedy mniej więcej już zaczęłam się dowiadywać. Robiły tam rzeczy straszne, panoszyły się, deptały po innych kobietach, trudno to opisać. Były zupełnie bezkarne, bo były w świetnych stosunkach ze strażnikami, a poza tym - bo Rosjanki ! To było kżmarne ! Na szczęście to nie trwało długo, no ale zawsze jakieś tam czas.

Pamiętam, że z tej celi był widok na Wysoki Zamek. Pewnej nocy, a właściwie wieczorem zobaczyliśmy nagle ni stad, ni z owad ognie sztuczne. I to było takie dla nas strasznie zaskakujące. My tu siedzimy w obozie, a tu kolorowe sztuczne ognie ! Oczywiście żadna z nas nie wiedziała, co się dzieje. Ale te Rosjanki były bardzo ciekawe, a ze z tymi strażnikami miały swoje układy - poleciały do strażników wypytywać się. A oni mówią - "Kaniec wojny ! Wojna akonczyłaś !" Myśmy tylko się modliły, zapewne każda Polka sobie myślała - no, tak, dla nich wojna się skończyła, ale nie dla nas ! To było dla mnie pamiętne. Ile razy teraz widzę tu w Warszawie ognie sztuczne, to mi się przypomina, jakto słynne zakończenie wojny !

Kiedys wywołano mnie na wyjazd - wyprowadzono nas po bani, po kąpieli nie do celi, ale kazano nam usiąść na podworku. Było nas wtedy około 50 osób.

Chciałabym jeszcze wrócić do pobytu na Peltewnej, gdzie zdarzyła się taka historia niezwykła, bo nie dotycząca Polaków. Mianowicie, jak już mówiłam, Peltewna to był peresylnyj punkt. Zwożono do niego z różnych okolic, nawet z Tarnopola, z województw wschodnich z powrotem w kierunku odwrotnym, zachodnim do Lwowa i dopiero stamtąd wysyłano etapy na Wschód.

Były też i takie rzeczy - na Peltewnej zetknęłam się z taką sytuacją: latem 1945 r., może wczesnym latem, przywieziono Rosjan, zwłaszcza Rosjanki z ogromnymi, niezwykłymi bagażami. To były ogromne toboly, nawet nie walizki ! Co się okazało - to były Rosjanki, Ukrainki i Białorusinki - w każdym razie z zachodniej części Związku Radzieckiego, które były wywiezione do Niemiec na roboty. Oczywiście świetnie tam przeżyły. Nie w żadnych obozach, ale na robotach, tak jak i z Polski byli ludzie wywożeni. I tych wszystkich wojska rosyjskie, a szczególnie NKWD wylapalo na terenie Niemiec i oczywiście zabralo z powrotem. Początkowo uroczyscie, że powinniście wracać do ojczyzny, do Związku Radzieckiego ! I one nabrały w te toboly co tylko się dało, grabiły przypuszczam tych Niemców i to mienie niemieckie wiozły do siebie, do swojego kraju. Co się okazało - we Lwowie zostały zabrane na peresylnyj punkt, wszystkie rzeczy im odebrano. Zrobiono zupełnie tak, jak robili Niemcy z Żydami w Oświęcimiu - wszystko im odebrano i tak jak stały, po bani, tylko w tym, co miały na sobie - zabierano na etap i wywożono na Sybir !

W tym czasie rozniosła się też wiadomość, że bardzo wielu żołnierzy rosyjskich, którzy nie byli tacy bardzo pokorni, a zobaczyli w Niemczech, jak ludzie żyją - pomimo, że byli w wielkiej, zwycięskiej armii - w bardzo wielu peresylnych punktach rozbrajano ich i wysyłano na Sybir jako normalnych więźniów. Byli oni zakazani Zachodem, dlatego, że po prostu

zetrnęli się z kulturą **Z**achodu.

Natomiast kiedyś do naszej celi, to było wcześniej i chyba jeszcze nie pracowałam, przyprowadzono Rosjanke, która była niezwykle inteligentna. Co się okazało - ona nam wszystko opowiedziała, była z nami bardzo szczerą. Byliśmy tylko same Polki wtedy w tej celi pamiętam. I ona nam wszystko, całą swoją historię opowiadała. To była kobieta po konserwatorium, doskonała pianistka, Jak Niemcy napadli na Sowiety, to ona doszła do wniosku, że ona pianistka to pianistka, ale jest przede wszystkim młoda i silna, wobec tego ona musi się zgłosić. Zgłosiła się na ochotnika, ponieważ jako wykształcona i inteligentna, prawdopodobnie знаła niemiecki i jakiś inny jeszcze język - niemiecki chyba perfektnie znała. Zgłosiła się, że będzie partyzantką. Przeszła jakiś tam kurs, w tym spadochroniarski. I rzeczywiście została zrzucona na teren Polski. To było jeszcze wtedy, kiedy Niemcy byli jeszcze jak najbardziej pełni sił i energii. Jakis czas działała na polskich terenach, ale niestety dostała się w ręce niemieckie, wpadła. Aresztowali ją, ale udało jej się uciec w transporcie. Musiała to być bardzo sprytna babka. W każdym razie dostała się na wolność i dostała się do swoich. Po raz drugi ją zrzucano. I tym drugim razem jak została złapana, od razu zawiezli ją do Oświęcimia. Pokazywała nam numer oświęcimski, tak że nie przypuszczam, żeby to była bujda, żeby sobie sama ten numer wytatuowała. ^{jak 18 podobnie było NKWD} Nie pamiętam jej imienia i nazwiska, ona nam podawała, ale zupełnie nie pamiętam. Jestem przekonana, że to była prawdziwa więźniarka Oświęcimia. W czasie ewakuacji Oświęcimia ona starała się jak najprędzej dostać w ręce rosyjskie, żeby wrócić do swoich.

Opowiem jeszcze jej epizod oświęcimski. Ponieważ była pianistką, wobec tego wzięto ją do orkiestry oświęcimskiej. Praco-

wala w obozowej orkiestrze. I tam poznała Polaka, muzyka. ^{Krakow}
Bardzo sie pokochali, planowali, ze sie pobiora po wojnie i
oczywiscie beda mieszkac w Krakowie, bo on byl z Krakowa.
Tak ze jeszcze takie romantyczne wspomnienie z tego obozu.

Jak tylko wojska rosyjskie dogonily tych oswiecimskich
wiezniow - ona oczywiscie od razu sie zglosila i wyjasnila,
kim jest, ze byla spadochroniarka itd. Oczywiscie NKWD jej
nie uwierzylo. Aresztowali ja od razu, powiedzieli, ze ten
numer to mogla sobie sama wytatuowac, ze ona jest na pewno
"szpionem" i tak dalej. Jechala takimi tranzytami (jak wiezio-
no poszczegolne aresztowane osoby przewozono normalnymi poci-
gami i to nazywalo sie "tranzyt") do Moskwy, bo tam ewentualnie
mozna bylo sprawdzic, czy ona mowi, prawde. Ona mowila nam to
z takim strasznym zalem, mowila- swoi, nie wierza, przeciez
ja dla Związku Radzieckiego oddalabym zycie ! Byla strasznie
zawiedziona. Mysmy jej powiedzieli, na czym polega ten caly
Sawiet'skij Sajuz, niech nie rozpacza. Jest to jedna banda lobu-
zow i bandytow niewiele lepsza od hitlerowcow, o ile lepsza !
Ona strasznie to przezywala ! To byla niezwykle kulturalna,
niezwykle sympatyczna, bardzo ladna kobieta. Jestem pewna, ze
to wszystko, co ona nam opowiadala, bylo prawda. Bardzo krotko
z nami byla. Zabrali ja i wywiezli - nie wiem, czy do Moskwy,
nie wiem, co z nia zrobiono.

Takie wiec sa epizody rosyjskie - inteligencja no i ten
motloch, tych, ktorzych wywczono na roboty. A wiec ich historie
plus ta, ktora sie opowiadalo o zolnierzach.

Jeszcze jak pracowalam, to kierownikiem tej przychodni
zdrowia byl Rosjanin, lekarz, w mundurze. Dlaczego byl areszto-
wany, dlaczego siedzial (bo on byl zakljuczonyj, on nie byl
wolny) - nie wiem. Dentysta byl Polak, wiezien, chyba sie

Berezowski nazywał. Natomiast nazwiska, tego Rosjanina nie pamiętam. Przypuszczam, że dostał się do więzienia w taki sam sposób, jak Sołżenicyn - gdzieś pewno się wyraził, albo napisał coś nie tak.

Z Ukraińcami, to jak mówiłam - tylko przeważnie z nami siedziały kobiety i to przeważnie były wiejskie baby. Jeżeli chodzi o mężczyzn, to wiadomo, jaki był do nich stosunek - albo od razu etapami wywożono ich, w każdym razie w takim peresylnym punkcie z mężczyznami-Ukraińcami nigdy się nie spotkałam. Tylko z kobietami, które były strasznie wystraszone, spotoszone, bo to przeważnie były wiejskie baby.

Wracam teraz do momentu, kiedy z "wieszczami" zostałam wywołana do tego konwoju, do wyjazdu.

Było nas w tym konwoju około 50 kobiet. Ja już wiedziałam, że to jest wyjazd, więc dosyć byłam podniecona, wiedziałam, że to już koniec. Wszystkim zostawiłam wiadomość, prosiłam, żeby dali mojej mamie znać, że ja zostałam wywieziona. Siedziłyśmy po bani na podwórku przed bramą już. Konwojenci się już ustawili, już psy są. No i przychodzi Rosjanka, wolna, pracująca tam, gdzie mnie ^{podziwiał} wołali na to ostatnie przesłuchanie. Ona tam pracowała, ale to była wolna. Przyszła z całym plikiem papierów. Wywoływała po kolei każde nazwisko. Trzeba było wstąpić wtedy, bo myśmy siedziały na swoich wieszaczach i każda wywołana mówiła imię i otczestwo, mówiła, że co siedzi - taka krótka informacja. Ona brała te papiery i przekazywała konwojentowi, który stał koło niej. Wywołała i mnie. Wstałam. Ona tak spojrziała na mnie - imię, otczestwo itd. Kazała mi potem siadać, ja usiadałam. A ona miała jeszcze mnóstwo kobiet do wyczytania i co która wyczytała - to patrzyła na mnie. Myślałam sobie - co ona mi ~~sta~~ tak przygląda?

Otoż wyjaśniło się - jak już wyczytała wszystkie - podeszła

do mnie i pyta sie tak - a ty jedziesz dama, czy z kims z rodziny ? (bo czesto bylo tak, ze matka z corka, ze dwie siostry) Ja mowie nie, ja jaestem sama. A s ktorogo ty goda ? A ja mowie - dwadcat wosnogo. Nu, chadi ! - i kaze mi wyjsc. Bierz swoje rzeczy i chodz ! Podchodzi do tego konwojenta i mowi tak - tam masz taka jedna z 28 roku, oddaj mi jej papiery ! Zabrala moje papiery od niego i kazala mi isc z powrotem do celi. Ja poszlam, ku wielkiemu zdziwieniu i radosci sasiadek, ktore pytaja, dlaczego. Ja mowie - nie wiem i opowiadam im, jak to bylo.

Nie wiedzialysmy o tym, co mowilam, jak moja mama zostala zwolniona, ze wtedy bylo rozporzadzenie, aby dd 28 r. nie wyjezdzic na Sybir, ze byla amnestia. To dopiero wiele lat pozniej sie o tym dowiedzialam. A myslalam pozniej calkiem co innego. Mianowicie tę Rosjanke zapamietalam, poniewaz ona mi sie tak ciagle przygladala, to i ja na nia patrzylam. Jak juz bylam zwolniona kiedyś bylam z mama na targu we Lwowie, jakos tuz przed wyjazdem. Patrze - ona idzie,ż taka dziesięcioletnia dziewczynka, czyli taka, jak ja jeszcze wówczas wygladalam. I mowie do mamy - popatrz, ona mnie dlatego wybiegnela (bo jak to juz oddala moje papiery i niezaleznie od tego, ze bylam z 28 r. i tak bym pojechala !), ze ją serce ruszylo, bo miala corke, wygladajaca tak jak ja. Nawet podeszlam wtedy do niej i powiedzialam jej "spasiba !" A ze szto ? A ja mowie jej, ze wlasnie ona moje papiery z wiezienia wycofala. A ona z taka wtedy pogarda spojrzala na mnie i powiedziala "no spasiba w karman nie idiot !" Odwrocila sie na piecie i poszla ! Aluzja wyrazna !

Ale wracajac do tematu. Konwoj zaraz wyruszył, a ja wrocilam do celi. Cos nieszam daty - to bylo na pewno jeszcze wtedy,

kiedy ja nie pracowalam. Prace dostalam pozniej, w kazdym razie wtedy jeszcze tak, zle wygladalam. Potem dopiero, jak zaczelam pracowac, to juz lepiej wygladalam i zaczelam tyc. Dlaczego - dlatego, ze i lepiej sie odzywialam, mama mi podawala te paczki, wobec tego jadlam wiecej. Bylam mloda, wobec tego zaczelam tyc.

Doszedl ten moment, kiedy mnie zwolniono. Ja oczywiscie grypsy pochowalam i z wieszienia wyszlam. Bylo to dokładnie 17 wrzesnia, poniewaz juz trozka krotszy dzien, wiec mogla bys godzina 7-8, w kazdym razie zaczynal sie zmrok. Ja Lwowa nie znalam, niedawno przeciez do Lwowa przyjechalam. To bylo na peryferiach, wyszlam z bramy i znalazlam sie tak - tu pole, tu oboz i nie wiadomo, ktoredy isc. Poniewaz pamietalam, ze jak myśmy przez okno wygladaly, to swiatla Lwowa byly w tamta strone - to w tamta strone sie skierowalam. Gdzieś tu znalazlam jakas droge i szlam, az doszlam do jakiejś ulicy. Zaczelo sie robic zupełnie ciemno. I zywego ducha wokol. Wreszcie kogos spotkalam na ulicy, nie wiedzac, czy ide dobrze czy zle. Zapytalam sie, gdzie jest zlica Tarnowskiego. Oczywiscie od razu. poniewaz to byl ktos z Polakow - podprowadzil mnie az do centrum, potem powiedzial - teraz juz sobie poradzisz i wytluaczyl, jak mam isc. Poszlam wiec do domu. Mamy w domu nie zastalam, ale sasiedzi jak mnie zobaczyli z okien (panstwa Wajcmanow juz nie było, juz wyjechali do Polski, w domu tym mieszkala juz tylko mama) - to wylecieli, zabrali mnie. Od razu do wanny, do lazienki i to i tamto ! Jak mama przyeszla to oni do niej - niech pani tu przyjdzie, niech pani przyjdzie, mamy bardzo radosna wiadomosc dla pani. Co, Ewa wrocila ?! Sama zgadla. No wiec, tak, wrocilam.

Oczywiscie mama sie mna zajela, zrozumiale ^{ze} od razu zapisala mnie na karte ewakuacyjna, sama zreszta juz karte

ewakuacyjną już miała. Ale nie myślała jeszcze wcale wyjeżdżać, bo przecież Hanka nie ma, musi jeszcze Hanke wyciągnąć. Nie wiedziała już o tym, i to się już znacznie później dowiedzieliśmy, że tuż przed moim zwolnieniem Hanka została wzięta na transport i wywieziona na Sybir. Z tym, że pojechała takim małym, 50 - osobowym konwojem. Wywiezli ją nad Morze Białe, to się chyba nazywało Bolszaja Inta. Było to na północ od Leningradu. Tam była dłuższy czas jako niesuzdionna i tam zaczęła pracować w szpitalu. Lekarz, Rosjanin, stary, ^{Myślen} wytrawny powiedział jej - jeżeli ty nie jesteś sadzona, to powinnaś zrobić głodówkę i starać się, żeby cię osądzili, bo tak to nie mają prawa cię trzymać. Nauczył ją, co należy zrobić. Rzeczywiście ona zrobiła głodówkę, raz, drugi raz i wreszcie po długim czasie zabrali ją do Lwowa. We Lwowie znów trzymali ją w więzieniu, nie chcieli się nią interesować, w końcu ona zrobiła tam znowu głodówkę i ją w końcu wypuszczono. Nie sadzono jej, nie ma ^{istnie} żadnych akt, nic. Tylko, że to już było niestety w Sylwestra 1947 roku, kiedy już było po ewakuacji i ona wrócić do Polski nie mogła. To już jest cała długa, długa gehenna, bo ona zaczęła tam mieszkać we Lwowie, zrobiła kurs felczerski. W międzyczasie dostała gruźlicę po tych wszystkich przejęściach, ale się tam jakos na szczęście wyleczyła. Ale potem, na skutek listów mamy prawdopodobnie - bo mama nie dawała cały czas za wygraną i z Polski pisała - więc pisała do Rokossowskiego, Cyrankiewicza, Bieruta, jednym słowem do wszystkich świętych. Ale napisała także do Stalina, chyba nawet nie jeden. ¹⁰² I ten list dał skutek prawdopodobnie, ale wręcz odwrotny. Mianowicie pewnego pięknego dnia przyszli po nią we Lwowie i zabrano ją i wysłano ją na przymusowe przesiedlenie aż w Abakanski rajon. To jest na południe od Krasnojarska. Aż tam ją wywieziono.

Do pracy w kamieniolomie. No, ale ona, jak mówiłam zrobiła w międzyczasie kurs felczerski, miała dyplom i po pewnym czasie pracy w kamieniolomach, dziewczyna przecież nie taka znowu silna, żeby pracować w ten sposób, powiedziała - przecież ja się wam tu mogę przydać lepiej, bo w granicach kilku tam kilometrów nie ma lekarza, a ja mam dyplom felczera ! I oni się zgodzili na to. Jakos szczęśliwie tam przez dłuższy czas jako ten felczer pracowała, a potem ktoś jej poradził, aby ona złożyła podanie na studia do Krasnojarska, że ona chce medycynę studiować. Wiedząc o tym, że na pewno nie zda, bo ani rosyjskiego tak dobrze nie знаła, ani nie miała szans. I rzeczywiście tak się stało, ale znalazła się w Krasnojarsku. Tam pracowała już nie jako wracz, ale jako pielęgniarka. Lekarzy było tam przecież dużo. Tam się poznała z moim obecnym szwagrem. Wrocili do Polski w 1955 roku. (Ale to już cała gehenna inna.)

Natomiast mama starała się jak najszybciej mnie wyprawić do Polski, bo musiałam przecież iść jak najszybciej do szkoły, nie było więc co tu siedzieć. A ona, jak mówiła - muszę jeszcze pilnować sprawy i Hanke wydobyć ! I wobec tego z taką daleką rodziną, z państwem Piechowskimi wsadziła mnie do transportu i ja przyjechałam z nimi do Polski. Ja już wiedziałam, że jadę do Zabrza, oni nie wiedzieli gdzie, ale doszli do wniosku, że skoro moja starsza siostra mieszkała tu w Zabrzu na Górnym Śląsku, miała to mieszkanie po Niemcach, więc jak ona znalazła mieszkanie, to i oni też znajdą. I przyjechali ze mną do tego Zabrza. Tam było mnóstwo wyjeżdżających Niemców, wobec tego rzeczywiście szybko znaleźli mieszkanie.

Mama wrocila ze Lwowa ostatnim transportem, dokładnie w koncu maja 1946 roku. To był ostatni transport, jaki stamtąd przyszedł. No i jak wiadomo w 1946 r. zakończyła się ewakuacja

a my znalazlyśmy się w Zabrzu. Zaczal się zupełnie inny rozdział

Co było jak ~~ja~~ przyjechałam do kraju ? No, przede wszystkim straszna radość mojej siostry, która wreszcie kogoś z rodziny spotkała, bo była zupełnie sama. Ponieważ ona zdążyła jeszcze przed wojną niemiecko-radziecką zrobić maturę, więc w Zabrzu zaczęła pracować. Pracowała w jakimś przedsiębiorstwie i poznała tam pana, który był radcą prawnym, znalazł się w Zabrzu po powstaniu warszawskim. Pan młodszy Edward Klimczuk, który był 13 lat od niej starszy. Miał takie zamiłowanie do zakonu w czasie wojny i wyglądało na to, że zostanie kapucynem, ale tymczasem moja siostra go oczarowała i pobrali się. No, ale ślub dopiero się odbył jak moja mama wróciła.

Natomiast siostra od razu zapisała mnie do szkoły. Pytanie, do której klasy ? Jak się dowiedziano, że ja byłam w 8 klasie "diesiatiletki" rosyjskiej - to przyjęto mnie do 4 gimnazjalnej. No i ja - nie mając ani pierwszej, ani drugiej, ani trzeciej - znalazłam się w czwartej ! Było to dość ciężkie, ale widac jakos tam dalaś sobie radę, bo te 4 gimnazjalna zrobiłam i nała maturę też zrobiłam. Pierwszy szok tylko dla mnie był, gdy znalazłam się pierwszy czy drugi dzień w klasie, była lekcja fizyki i nauczycielka wywołała mnie do tablicy. Zadała mi pytanie, a ja zupełnie nic ! No wie, ale pani profesor, ja dopiero przyjechałam ! A w której ty byłaś klasie ? W osmej. No, przecież takie rzeczy to w drugiej gimnazjalnej się uczą ! No, ale widac sobie jakos poradziłam.

Potem oczywiście problem do jakiego liceum pójść - no, oczywiście do humanistycznego, bo w matematyczno-przyrodniczym bym sobie nie dała rady. Zrobiłam humanistyczne liceum, ale zamiłowanie właściwie miałam bardziej przyrodnicze niż humanistyczne. Maturę zrobiłam w Żenskim Liceum Ogólnokształcącym.

(w Zabrzu)

A jeszcze opowiem, miałam takie kapitalne przeżycia, bo to przecież Zabrze, „ziemie odzyskane” właściwie. Co prawda blisko granicy, ale jednak ziemie odzyskane. Miałam mnóstwo koleżanek - Ślązaczek. Było kilka dziewcząt z powstania warszawskiego czy li z Warszawy, my - duża grupa ^{ze Śląska} (tych, które stamtąd wyrzucono, wobec tego - Wieża Babel ! Awantury nieraz były niezłomskie !

Miałam taką starszą od nas koleżankę, nazywała się Elżbieta. Chodziła ^{pod okno} do gimnazjum w Bytomiu, ale mieszkała w Zabrzu i codziennie przechodziła granicę polsko-niemiecką, bo Bytom był w Polsce. Zrobiła wtedy trzy klasy gimnazjalne, ja się z nią zetknęłam w czwartej gimnazjalnej. Jej ojciec był był powstancem. Zginął - nie wiem, czy w powstaniu, czy już w czasie wojny, w każdym razie był powstancem śląskim. Matka była strasznie gnębiona - i przez Niemców i później przez władze komunistyczne sowieckie. I dyskusje były takie - a z drugiej strony myśmy niczemu nie byli winni, my też zostaliśmy wyrzucone z domu. I te niby kłotnie, tak jak to są takie etniczne kłotnie, a właściwie i tamta strona pokrzywdzona i my pokrzywdzone, te z powstania warszawskiego również. Pamiętam, że tego rodzaju kłotnie nieraz miałyśmy straszne. Chociaż bardzośmy się lubiły i właściwie przyjaźniły. I dopiero dziś zdaje sobie z tego sprawę, bo na tym Śląsku przebywałam prawie 4 lata, więc ja dziś patrzę na ten Śląsk zupełnie innymi oczyma. Wtedy to było strasznie wrogie ! To środowisko obce, ci Ślązacy byli wrogami właściwie, bo myśmy się tam znaleźli niechciami i nie chcący. Dziś rozumiem to, że oni byli strasznie biedni i strasznie gnębieni. I jest mi ich potwornie żal, a najbardziej żal mi tego, że to pokolenie, potomkowie tych wszystkich powstań śląskich wyjechało jako Niemcy do Niemiec ! I tego nie mogę odzaliczyć. Ja mieszkałam w domu, w którym siostra dostała

mieszkanie. Dom był własnością gornika o nazwisku Pilny. Zupelnie "niemieckie" nazwisko ! Córka jego, moja rówieśnica nie uczyła się, wyszła za mąż i nazywała się Niedurny. Też typowo "niemieckie" nazwisko.

Jak już kiedyś po studiach byliśmy z mężem na jakimś sympozjum na Śląsku - pojechaliśmy do Zabrze. Pojechałam tam, chciałam zobaczyć. Przychodzę pod ten dom, oglądam - ktoś się wychylił przez okno i pyta - kogo pani szuka ? A ja mówię - tu właścicielami byli Pilny. Ooo, proszę pani, oni już 10 lat temu wyjechali do Niemiec ! To było dla mnie szokujące, to byli przecież Polacy, oni mówili po polsku ! To było straszne. Czego nie zrobiły zabory w sensie wyнародowienia Ślązaków - dokonało się po wojnie, błyskawicznie. Dzisiaj, jak myślę o Śląsku, myślę zupełnie innymi kategoriami. I jest mi tego strasznie, ale to strasznie żal ! Ja tam byłam krótko, ale pamiętam cały okres tam pobytu. I właściwie przyjaźni z tymi Ślązakami. Z tą Niedurny, ja się ^{z nią} właściwie przyjaźniłam, zanim ona wyszła za mąż, a ja skończyłam szkołę. Jest mi tak strasznie żal, że przecież oni się wszyscy zniemczyli ! I widac - oni szalenie tęsknią do Polski, bo kiedyś byliśmy przejazdem przez RFN i w jakimś ogromnym supermarkecie nie mogliśmy się dogadać. Podeszła do nas babka, która mówiła zupełnie dobrze po polsku, ale z akcentem śląskim. Strasznie się ucieszyła ! Ja się od razu zorientowałam, że ona jest Ślązaczka. Ona nam pokazała, co jest taniej i co należy kupować, a czego nie. Ale właściciel się zorientował, że ona nam pokazuje rzeczy z przeceny, tańsze. Wzwał ją, ja tylko zobaczyłam gniew w jego oczach. I ona tylko podeszła do nas i powiedziała - ja już nie mogę, pożegnała się i poszła.

Tak że oni tęsknią chyba do Polski.

Wracamy jednak do Zabrza, jest koniec 1945 roku.

Zaczęłam chodzić do IV gimnazjalnej z wielkimi trudnościami ze względu na przerwy w nauce i niedouczenie, ogromne luki, itd. Ale udało mi się szczęśliwie skończyć IV gimnazjalną, czyli dawniejszą małą maturę. Należało uczyć się dalej, więc poszłam do Liceum Humanistycznego. Pod koniec liceum, kiedy zaczęła zbliżać się matura - zaczęły się problemy już poważniejsze, m.in. musiałam skądś zdobyć metrykę, której nie miałam. Trzeba było wówczas mieć również "świadectwo moralności". Na czym ono polegało tam w Zabrzu? Było tam szereg ślazaczek, np. jedna nazywała się Niedziela, druga Ronczka, ale pisana z niemiecką, oraz szereg dziewcząt noszących nazwiska niemieckie, oraz ja, nosząca również nazwisko niemieckie - Linde. Otoż władze zażądały, abysmy złożyły podania o zmianę nazwiska, ponieważ mamy nazwiska niemieckie. Jest to naszym patriotycznym obowiązkiem. Od tego jest uzależnione świadectwo moralności, które niezbędne było do matury! Mnie to oczywiście zaszokowało, bo nigdy przecież z żadnymi Niemcami nie miałam do czynienia. Tymbardziej, że tradycja rodzinna mówiła, iż pochodzimy od Samuela Bogumila Lindego, a zawsze uważano, że pochodził on ze Szwecji, z miejscowości Dalarna. Napisałam w tej sprawie list do mojej mamy, skarżąc się, że takiej rzeczy ode mnie wymagają. Mama wówczas prowadziła w Solicach Zdroju (obecnym Szczawnie) dom wczasowy. Musiała przecież gdzieś pracować, mieć jakieś pieniądze, mnie utrzymywała. Jak opowiadałam wcześniej - moja mama była całe życie bardzo energiczna i bojowa. Jak rozprawiała się z Sowietami w Lwowie, chciała po przyjeździe tutaj rozprawić się z państwem Wajcmanami. I dopadła ich! Dopadła ich w Bielsku Białej. Nie wiem, jakim cudem trafiła

na ich ślad, w każdym razie znalazła ich. Poszła do prokuratora. Ale prokurator okazał się człowiekiem bardzo mądrym i bardzo przyzwoitym. Nie tylko nie zaaresztował mamy, ale powiedział - proszę pani, pani chyba sobie nie zdaje sprawy, w jakich my czasach żyjemy ! Niech pani da spokój, bo to się może bardzo źle skończyć ! Uratowała się pani od tamtej gehenny - niech pani nie doprowadzi do tego, że panią stąd wywieżą, gdzie pani nie dojechała ! I jakos przemówił mamie do rozumu. Na szczęście machnęła ręką i zostawiła ³Wojmanów w spokoju. Oni zdaje się zresztą niedługo potem wyjechali do Izraela.

Jedną z moich koleżanek, która zrobiła tylko małą maturę - pracowała w urzędzie niejaki w wydziale, w którym trzeba było składać podania o zmianę nazwiska. Poszłam do niej, złożyłam u niej podanie i poprosiłam, aby położyła je tak, żebym po zrobieniu matury mogła je od razu wycofać. Nie miałam przecież zamiaru zmieniać nazwiska, które było historyczne. Złożyłam to podanie, prosząc o zmianę nazwiska na "Lipowska". Ona mi obiecała, że położy to podanie tak, aby bron Boże nie nabralo drogi urzędowej. Ale moja mama, jak się dowiedziała, co się stało - napisała list do kuratorium. A umiała listy pisać ! Korespondowała przecież z Iwaszkiewiczem, z Parandowskim, z Brandysen... A napisała tak, że im oczywiście w piety poszło ! Skrupiło się oczywiście na dyrektorce szkoły, bo na nią kuratorium zrzuciło całą odpowiedzialność. Dyrektorka, która była skądinąd bardzo przyzwoitą osobą - uczyła jeszcze we Lwowie moją siostrę geografii - do mnie kilka dni przed maturą z pretensjami ! Było to kilka dni przed maturą, wiadomo było, jak człowiek się wtedy denerwuje, w dodatku niedouczony, jak ja wówczas. I ja tu do dyrektorki na dywanik ! Czy ty wiesz, co twoja matka napisała ?! Nie wiem. No, to ja ci powiem !!

I tu się zaczęło ! Była na mnie strasznie wściekła, bo dostała piekielna awanturę w kuratorium !

Zdawałam maturę jako Ewa Linde i zaraz potem oczywiście wycofałam tamto podanie. Ale wo miałam za przykrości, to miałam ! Ale na szczęście matura szczęśliwie przeszła, z tym, że był pan z kuratorium, który nie omieszkał mnie zapytać - a czy pani wie, w ilu egzemplarzach wyszło pierwsze wydanie Słownika Lindego ? Oczywiście nie wiedziałam, coś tam palnęłam. I tak się skończyła cała sprawa z nazwiskiem. Te wszystkie słazaczki musiały też składać podania o zmianę nazwiska.

Po maturze postanowiłam pójść na studia. Mama mi powiedziała, że nie będzie mi nic narzucała. Skończyłam liceum humanistyczne, ale na ~~żaden~~ humanistyczny kierunek nie miałam ochoty. Nie wiedziałam, co wybrać. Na wakacjach pomaturalnych spotkałam trzech takich wspaniałych geologów, którzy byli właśnie tam, gdzie moja mama prowadziła dom wczasowy. Byli na praktyce geologicznej z Akademii Górniczej. Namawiali mnie na geologię, ale przecież na Akademii Górniczej trzeba było znać matematykę, mieć fizykę w jednym palcu, itp. Ale oni mówią, że jest przecież geologia na uniwersytecie ! No więc ja wówczas za "Podstawy geologii" Samsonowicza, zaczęłam wkuwać i do Wrocławia, gdzie zapisałam się na geologię. Był problem, jak trzeba było wypełniać ankietę - co zrobić z tym pochodzeniem ! Po naradach i konsultacjach - no, co, mój ojciec był inżynierem, więc moje pochodzenie - inteligencja pracująca ! Przecież nikt we Wrocławiu nie będzie sprawdzał tego ! Gdzie we Wrocławiu ktoś sprawdzi, że w Czerenchowie mój ojciec miał majątek ! A poza tym we Wrocławiu była zupełnie inna atmosfera. Zdawałam jako jedna z 7 osób - z geologii dostałam piątkę, a mimo to, że z wiedzy o Polsce współczesnej ledwie trójkę - zostałam przyjęta.

Po pierwszym roku cudownych studiów we Wrocławiu, gdzie atmosfera była cudowna, gdzie się wspaniale czułam - przede wszystkim w mieście, gdzie wszyscy byli swoi, gdzie do każdego można było się odezwać, z każdym porozmawiać, gdzie było wspaniale - mama przeniosła się do Warszawy iściągnęła mnie tutaj również. A na marginesie - dziekanem wydziału matematyczno-przyrodniczego, ^{W latach 1945-1946} ~~pod który podlegała we Wrocławiu geologia~~, był wówczas prof. Wiktor Kemula. Ukrywał się on przez jakiś czas ^{W czasie okupacji niemieckiej} w naszym domu. Wobec tego załatwił on mi natychmiast przeniesienie. I po pierwszym roku znalazłam się w Warszawie, ku wielkiej mojej rozpaczy. Jako że atmosfera w Warszawie w niczym nie przypominała cudownych, familiarnych stosunków wrocławskich !

Rozpoczęła się tu zupełnie inna historia mojego życia - studia u prof. Samsonowicza, potem byłam asystentką w zakładzie mineralogii i petrografii u prof. ^{du}Turno-Morawskiej przez 2 lata tzn. do końca studiów. Pod koniec studiów zbliżyliśmy się z moim mężem, który był asystentem u prof. Samsonowicza. Łączyły nas z mężem również poglądy, bo był on synem przedwojennego zawodowego wojskowego, wobec tego miał też nienajlepsze pochodzenie, jak na ówczesne czasy.

Wówczas sekretarz partii, ~~do~~ ^{do} dzisiaj żyjąca, zresztą uważam ją za jedną z najprzystojniejszych komunistek, bo ona była przynajmniej uczciwa - zapętała mnie, czy staram się o dalszą asystenturę. Na odpowiedź, że nie, odrzekła - to dobrze, bo i tak byś jej nie dostała. I to samo powiedziała mojemu mężowi. I mimo, że prof. Samsonowicz bardzo lubił mojego męża, też nie mógł go zatrzymać, bo partia by się na to nie zgodziła. To był rok 1952 r., a więc czasy bardzo złe. Mnie chcieli wysłać na Śląsk, bo tam trzeba było geologów. A wtedy były jeszcze nakazy pracy. W przeddzień komisji nakazu pracy poszliśmy więc do Urzędu Stanu Cywilnego i zawarliśmy

związek małżeński. Jak się okazało na komisji, że jestem mezatka, a mąż moją pracę w Warszawie - upadła sprawa nakazu pracy dla mnie poza Warszawą. Dostałam przydział do Ministerstwa Gospodarki Komunalnej.

Pracuję obecnie, tak jak mój mąż, w Instytucie Geologii, gdzie zajmuje się stratygrafia. Udało mi się napisać około 70 prac naukowych. Tutaj też zrobiłam doktorat i habilitację.

Na początku jednak nie mieliśmy w Warszawie mieszkania, więc zaproponowano nam przeniesienie do Kielc. Tam Instytut Geologiczny miał swój Oddział. A wobec faktu, że tam znajdują się skały interesujące moją pracę (ja nimi też się później zajmowałam) - chętnie zgodziliśmy się na te przenosiny. Dostaliśmy tam mieszkanie, tam urodziły się nasze dwie córki. Spędziliśmy tam pięknie 10 lat.

Stamtąd przeniesliśmy się do Warszawy w 1963 r., gdy otrzymaliśmy obecne mieszkanie w bloku przeznaczonym dla specjalistów "z terenu" niezbędnych w stolicy.

Tuż przed przeprowadzką mąż zrobił doktorat, później ja. Pracowaliśmy oczywiście dalej w Instytucie. A potem przyszedł stan wojenny i proces pracowników Instytutu, w którym ja też byłam oskarżona. Jako najstarsza spośród 8 osób. Bronił nas mój. De Virion, na szczęście cudownie nas wybronił.

Później zrobiłam jeszcze habilitację, ale w dwa miesiące później, już za Polską Rzeczpospolitą prawdziwą - zwolniono mnie na emeryturę. Ale to już zupełnie inna historia.

Ewa Tomczyńska
15. 07. 1991 r.

УССР
Народный Комиссариат
Внутренних Дел

Формы «А»
Видом на жительство не служит
При утере не возобновляется

УПРАВЛЕНИЕ НКВД
по Львовской области
ПЕРЕСЫЛЬНЫЙ ПУНКТ

СПРАВКА № 1647

ОПТИ УНКВД Л/О

17. IX 1945 г.
№ 1647
г. Львов

Выдана гражданину(ке) Ева Юльевна
1928 года рождения, уроженцу(ке) Город Станислав
ссср национальность Полоня

осужденному(ой)

1. Марта 1945 г. по ст.ст. — УК — к лишению свободы на лет
с поражением в правах на — года, имевшему(ей) в прошлом судимость Не судимую

в том, что он(она) отбывал(ла) меру наказания с 1. III 1945 г. по 17. IX 1945 г.
и по Ордеру № 794 1. Станислава УНКВД Львовской области

Место
для фото-
карточки
или дактилоскопия
большого
пальца правой
руки

с применением Львовской Пересыльного пункта НКВД
из 17. Станислав
(наименование исправительно-трудового лагеря, колонии или тюрьмы)
освобожден(на) 17. Станислав 1945 г. в соответствии с избранным местом
жительства в г. Станислав ул. Львов ул.ст. Маршальская
№ 93 железной дороги
Настоящая справка выдана 17. Станислав 1945 г.
Зам. Нач. к. Пер. Пункта Виктор УНКВД Львовской
Пол. Нач. к. Пер. Пункта Виктор УНКВД Львовской
(подпись начальника ОУРЗ лагеря или колонии или секретари тюрьмы) Ковалев
Печать Красноармейск

Выдано продовольствие на „ _____ “ суток с _____ 194 года

Выдано денежное пособие в сумме рублей _____ (прописью) _____

Выдано денег на питание в пути рублей _____ (прописью) _____

Выдан билет на проезд от ст. _____ до ст. _____ железной дороги

стоимостью рублей _____ или деньгами на билет в сумме _____

Возвращено личных денег в сумме _____

(подпись начальника ОУИЗ или секретаря тюрьмы)

Начальник фискаста _____

Подпись освобожденного *Минде*

Отметки о выдаче продуктов и денег в пути следования

Мировицкий „Бров“ Верх
Александров УИЗ
Дугов

Дата и подпись лица, производившего выдачу

Менделеев УИЗ Дугов

Расписка освобожденного *Минде*